

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XVIII.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XVIII

304 963

RODZINA POŁANIECKICH
CZĘŚĆ IV.

WARSZAWA

NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1900



78954 L-P

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Ноября 1899.

XXVII.

Dla Polanieckiego rozpoczął się teraz czas przedślubnych zabiegów i przygotowań. Mieszkanie miał wprowadzić gotowe przeszło od roku, to jest jeszcze zanim Marynię poznał. W swoim czasie, gdy Bukacki wyśmiewał się z tego mieszkania, widząc w niem dowód, do jakiego stopnia Polaniecki pała chęcią żenienia się, Polaniecki nie zaprzeczał:

— Tak jest — mówił. — Mam tyle, że mogę sobie na to pozwolić, a tymczasem wydaje mi się, że już zaczynam coś w tym celu robić, i że moje zamiary stają się czemś rzeczywistem.

Bukacki nazywał to przezornością godną pochwały, przyczem wyrażał zdziwienie, że człowiek, tak przewidujący przyszłość, nie zamawia odrazu akuszerki i niańki. Czasem tego rodzaju rozmowy kończyły się kłótnią. Polaniecki bowiem nie znosił, gdy mu ktoś odmawiał trzeźwego na świat poglądu. Bukacki zaś utrzymy-

wał, że to jest ptasi, godny trznadla romantyzm, poczynąć od budowy poetycznego gniazdką. Jeden twierdził, że nie może być nic rozsądniejszego, niż przygotować klatkę, chcąc mieć ptaka; drugi odpowiadał, że gdy ptak jeszcze nieupatrzonny i polów niepewny, klatka jest oszukiwaniem własnego apetytu. Kończyło się aluzjami do cienkich nóg Bukackiego, uniemożliwiających pogoń za wszelkiego rodzaju ptakami, choćby bez skrzydeł. Bukacki wpadał wówczas w wyśmienity humor.

Teraz jednak, gdy klatka była gotowa i ptak nietylko złowiony, ale chętny, pozostawało jeszcze tyle do roboty, że Polanieckiego ogarniało nieraz zdziwienie, że akt, tak z natury prosty, jak ożenienie się, stał się w ucywilizowanych społeczeństwach tak zawilym. Zdawało mu się, że jeśli nikomu nie przysługuje prawo wglądać w moralną stronę związku, ponieważ jest on wypływem czystej wolnej woli — formalna strona winna być również mniej dozorowana.

Ale myślał tak naprzód dlatego, że nie był prawodawcą, powtóre, że był człowiekiem przedkim, którego niecierpliwiła konieczność wyszukiwania «papierów», a po trzecie, że raz postanowiwszy się żenić, przestał się stanowczo namyslać, analizować — i dążył do tego, jak człowiek czynu. Napelniało go to nawet nieraz

dumą, gdy się porównywał z takim naprzykład Płoszowskim, którego historia, zanim zaczęła być znaną z jego własnego pamiętnika, krążyła już z ust do ust między ludźmi: «Jednakże ja jestem z innego metalu» — myślał z pewnem zadowoleniem Polaniecki. — Chwilami znów, gdy sobie przypominał postać Płoszowskiego, jego szlachetny i delikatny, a zarazem silnie zarysowany profil, jego wykształcenie, subtelność i giętkość umyslową, jego niesłychany dar jednania sobie ludzi, a zwłaszcza kobiet, przychodziło mu na myśl, że jednak on, Polaniecki, jest typem mniej wytwornym, mniej uszlachetnionym i wogóle człowiekiem, wyciosanym z grubszego materiału. Wszelako odpowiadał sobie, że widocznie, wobec warunków życia i odporności, jakiej ono wymaga, jest rzeczą wprost zgubną być zbytnim filigranem, tak pod względem umyslowym, jak i fizycznym. Widział w sobie również daleko większą zdolność życiową. «Ostatecznie — myślał — ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on przydałby się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z bibliotami. Ja potrafię chleb zdobyć, on potrafił tylko z gotowego kręcić gałki. Ja umiem, i dobrze umiem, farbować perkaliki, on umiał tylko farbować policzki kobiece. A jaka ogromna między nami różnica w stosunku do kobiety!

Ten człowiek przeanalizował swoje życie i życie kochanej kobiety, zgubił ją i siebie, nie mogąc wyjść z wątpliwości, czy ją dość kocha; ja mam też wątpliwości, czy moja miłość jest zupełna, a jednak swoją kobiecinę biorę — i niedolęgą byłbym, nie mężczyzną, gdybym się miał naprzód bać przyszłości i gdybym nie potrafił wycisnąć z niej w prosty sposób tyle dobra i szczęścia, ile się da wycisnąć».

Tu Polaniecki, jakkolwiek zarzekał się analizy, poczynął analizować, wprowadzie nie siebie, ale Marynię. Pozwalał sobie zresztą na to tylko dlatego, że z góry był pewien pomyslnych wniosków. To jednak rozumiał, że, w obliczaniu przyszłości dwojga ludzi, dobra wola jednej strony nie wystarcza i staje się niczem na wypadek braku dobrej woli z drugiej strony. Ale był pewien, że biorąc Marynię, nie bierze martwego serca. Marynia nie tylko przyniosła na świat prawą naturę, ale od młodych lat zetknęła się z pracą i warunkami, w których musiała zapominać o sobie, by myśleć o innych. Prócz tego, było nad nią, równe jakby nieustającemu zagrobowemu błogosławieństwu, wspomnienie matki, której spokój, prostotę i prawość, a zarazem życie pełne smutków, wspominano dotąd z największą czcią w całej okolicy Krzemienia. Polaniecki wiedział o tem i był przekonany, że

budując na sercu i charakterze Maryni, buduje na niewzruszonej niemal podstawie. Nieraz przychodziły mu na myśl słowa jednej znajomej i przyjaciółki jego matki, która, zapytana: czy więcej się troszczy o przyszłość synów, czy córek? odpowiedziała: «Wylącznie o synów, bo moje córki, w najgorszym razie, mogą być tylko nieszczęśliwe». Tak! synów chowa szkoła i świat — i oboje mogą z nich zrobić łotrów — córki, którym dom wszczepia poczciwość — «w najgorszym razie mogą być tylko nieszczęśliwe». Polaniecki rozumiał, że tak było i z Marynią. To też, jeśli ją analizował, była ta analiza raczej rozpatrywaniem się i lubowaniem jubilera w swoich klejnotach, niż metodą uczonego, który pragnie dojść do nieznanych i nie-dających się przewidzieć wniosków.

Jednakże raz pokłócili się z Marynią bardzo poważnie, z powodu listu Waskowskiego, który Polaniecki otrzymał z Rzymu, w kilka tygodni po wyjeździe profesora, i który odczytał w całości Maryni. List ten brzmiał, jak następuje:

«Mój drogi. Mieszkam via Tritone, pension Française. Odwiedź moje warszawskie mieszkanie; zobacz, czy Snopeczyński dobrze dozoruje moich malców i czy drobiazg św. Franciszka ma podostatkiem wody i siemienia. Jak przyjdzie wiosna, trzeba otworzyć okna i klatki —

kto chce, niech zostanie, a kto chce, niech leci. Malcy z rodzaju *homo sapiens* powinni mieć dobre pożywienie, bom na to zostawił, a prócz tego, mało moralów a dużo miłości. Snopeczyński jest dobry człowiek, ale melancholik. Powiada, że to skutkiem śniegów. Jak go napadnie tak zwana przez niego «chandra», po całych tygodniach patrzy na własne buty i milczy — a z dzieciskami trzeba gadać, by nabrały zaufania. Otóż i wszystko co do Warszawy.

«Tę pracę mojego życia, o której ci mówiłem, drukuję tu po francusku w drukarni «L'Italie». Trochę się śmieją z mojej francuzczyzny i ze mnie, alem ja do tego przywykł. Przyjechał tu Bukacki. Dobrze, kochane chłopczyśko, zdziwaczał do reszty i powiada, że powłóczy nogą, choć ja tego nie zauważyłem. On bardzo kocha i ciebie, i Marynię, a naprawdę to i wszystkich, pomimo że się tego wypiera. Za to, jak zacznie wygadywać — uszy wędną. Niech ci Pan Bóg błogosławi, drogi chłopcze, i ciebie i twoją pocziwą Marynię. Chciałbym być na waszem weselu, ale nie wiem, czy mi tu skończą do Wielkiejnocy moją robotę; więc tymczasem posłuchaj, co ci powiem, i wiedz, że w tym celu piszę ten list. Nie myśl, że stary gada, byle gadać, bo przecież wiesz, że ja był nau-

czycielem, że od tego zajęcia uwolnił mnie dopiero spadek po bracie, żem doświadczył i widział. Jeśli będziecie mieli dzieci — nie zameńczaj ich nauką, daj im rosnać wedle woli bożej. Móglbym na tem skończyć, ale ty lubisz cyfry, więc dam ci cyfry. Małe dziecko ma godzin pracy tyle, ile dorosły człowiek - urzędnik, z tą różnicą, że urzędnik gawędzi podczas biurowych godzin z kolegami lub pali papierosy; dziecko zaś musi przez cały czas wyteżać uwagę, bo inaczej zgubi wątek i przestanie rozumieć, co do niego mówią. Urzędnik po skończonej pracy idzie do domu, dziecko musi się przygotowywać na dzień następny, co zdolnemu zabiera cztery godziny, mniej zdolnemu — sześć. Dodaj do tego, że uboższe dzieci często dają lekcye, bogatsze je biorą — co razem wyniesie godzin dwanaście. Dwanaście godzin pracy dla dziecka!... Czy ty to rozumiesz, mój drogi? Czy sobie zdajesz sprawę, jakie to z tego muszą wyrastać natury chore, zwichnięte, skłonne do najdzikszych manii — krzywe, odporne? Czy ty rozumiesz, jak my posiewamy naszemi dziećmi cmentarze — i dlaczego najpotworniejsze idee znajdują wyznawców? Ach, dziś ograniczają nawet pracę dorosłych po fabrykach — ale o tem filantropia milczy. O! to przecie pole — to gotowa zasługa — to przyszła świętość i sława! Nie zameń-

czaj mi swoich nauką — proszę cię o to! I proszę Maryni — przyrzecze mi to oboje. Ja nie gadam byle gadać, jak czasem mówi Bukacki, bo mówię z serca, i to jest największa reforma, jaka czeka wieki przyszłe, największa po wprowadzeniu Chrystusa do dziejów. Zdarzyło mi się też kilka dni temu w Perugii coś dziwnego, ale o tem kiedyś ci opowiem, a teraz ściskam was oboje».

Marynia słuchała tego listu, patrząc za przykładem owego Snopeczyńskiego, o którym wspominał profesor, na końce swych bućków. Polaniecki zaś począł się śmiać i rzekł:

— Czy pani słyszała coś podobnego? Jeszcze do naszego ślubu daleko, a profesor już lamentuje nad naszymi dziećmi i wstawia się za nimi. To trochę historia mego gniazodka.

Po chwili zaś dodał:

— Co prawda, to moja wina, bom mu poczynił rozmaite obietnice.

I pochyliwszy się tak, aby dojrzeć oczy Maryni, począł pytać:

— A co pani mówi na ów list?

Polaniecki, pytając w ten sposób, miał taką nieszczęśliwą chwilę, w której człowiek nie jest sam sobą — i postępuje niezgodnie z własną naturą. Był on wogóle charakterem raczej szorstkim, ale nie grubijańskim, a nawet zdolnym

chwilami do prawdziwie kobiecych delikatności. Tymczasem teraz, zarówno w jego spojrzeniu, jak i w pytaniu, skierowanem do dziewczyny, tak przypominającej mimozę, jak Marynia, było wprost coś brutalnego. Ona wiedziała również, że za małżeństwem idą dzieci, ale przedstawiało jej się to, jako coś nieokreślonego, o czem się nie mówi, a jeśli się mówi, to albo w aluzji, tak delikatnej jak koronka, albo w chwili jakiegoś wzruszenia, z bijącym sercem, z rozkochanymi ustami przy uchu, w nastroju niemal uroczystym, jak o jakimś sanctissimum wspólnej przyszłości. Więc też niedbały ton, z jakim mówił o tem Polaniecki, zarówno ją zabolal, jak oburzył. Mimowoli przyszło jej na myśl: «Dlaczego on tego nie rozumie?» I z kolei ona postąpiła niezgodnie ze swoją naturą, bo, jak się to często zdarza osobom nieśmiałym w chwilach przykrości i zmieszania, udala większy gniew, niż czuła rzeczywiście.

— Pan nie powinien się tak ze mną obchodzić! — zawołała z oburzeniem. — Pan nie powinien tak do mnie mówić!

Polaniecki śmiał się jeszcze, chcąc nadrobić sztuczną wesołością.

— Czemu się pani gniewa? — spytał.

— Pan postępuje ze mną nie tak, jak powinien.

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— To tem gorzej.

A jemu śmiech znikł z ust, twarz pociemniała z gniewu i począł mówić prędko, jak człowiek, który nagle przestaje się rachować ze słowami:

— Być może, że jestem głupi, ale wiem, co jest dobroć, a co nie. W ten sposób życie staje się niemożliwe. Kto z niczego robi wielkie rzeczy, niechże sam siebie wini, a ponieważ obecność moja jest pani przykra, więc sobie idę.

I porwawszy za kapelusz, uklonił się i wyszedł. Marynia nie próbowała go zatrzymać. Przez chwilę jeszcze obraza i gniew przytłumiły w niej wszelkie inne uczucia, poczem pozostało jej tylko wrażenie, jakby ciosu obuchem. Myśli jej rozproszyły się jak stado ptaków, nad nimi zaś górowało tylko jedno niejasne pojęcie: «Stalo się! nie wróci!» W ten sposób zapadał się nad nią gmach, który już począł był wiązać się w tak piękne linie. Pustka, nicość, męczące, bo bezcelowe życie i ścierple serce — oto, co jej pozostawało. A było już tak blisko do szczęścia!... Jednakże to, co się stało, stało się tak nagle, było czemś tak niezrozumiałem, że nie umiała na razie zdać sobie z tego sprawy. Zbliżywszy się do biurka, poczęła na niem porządkować mechanicznie papiery, z jakimś bezmyślnym pośpiechem, jakby od uporządko-

wania ich mogło coś w tej chwili zależeć. Potem spojrzała na fotografię Litki i siadła nagle z dłońmi na oczach i skroniach. Po pewnym czasie jednak przyszło jej na myśl, że wola Litki musi być silniejsza od woli ich obojga — i zaświtał jej nagle promyk nadziei. Poczęła chodzić po pokoju i rozpamiętywać, co zaszło, przytem przypomniła sobie Polanieckiego, nie tylko jakim był w ostatniej chwili, ale i przedtem, dwa, trzy dni, tydzień temu. Żal jej był teraz już większy od urazy i powiększał się coraz bardziej — wraz z uczuciem dla Polanieckiego. Po niejakiem czasie poczęła sobie mówić, że nie wolno jej było się unosić, że obowiązkiem jej było przyjąć i kochać Polanieckiego takim, jakim był, nie zaś wymagać, żeby się dostosowywał do jej pojęć. «To przecie żywy człowiek, nie lalka» — powtórzyła kilkakrotnie. I ogarniało ją coraz większe poczucie winy, a zatem i skruchy. Z natury potulne i bardzo zdolne do kochania serce występowało do walki z trzeźwym rozumem, który posiadała niewątpliwie i który teraz próżno jej mówił, że słuszność nie była po stronie Polanieckiego, i że przecie nie powiedziała mu nic takiego, co by było nie do przebaczenia. Mówiła sobie: «Jeśli ma choć trochę dobre serce, to wróci», ale zarazem zdejmowała ją obawa przed miłością własną

mężczyzn wogóle, a Polanieckiego w szczególności, była bowiem zbyt inteligentną, żeby nie spostrzedz, iż on dbał wielce o to, by uchodzić za człowieka nieugiętego. Ale tego rodzaju uwagi, które niechętnie serce czyniłoby na jego niekorzyść, roztkliwiały ją już tylko dla niego.

I w pół godziny później była już do głębi duszy przekonana, że winą leży tylko li po jej stronie, i że «tyle go już w życiu namęczyła», że teraz powinna ustąpić, to jest: pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Ustępstwo owo równało się w jej pojęciu napisaniu do niego kilku słów pojednawczych. «On się tak nacierpiał z powodu tej sprawy Krzemienia, że mu się to należy». I gotowa była choćby płakać nad jego losem. Spodziewała się przytem, że on, ten niegodziwy, brzydki człowiek, oceni to, ile ją kosztuje pisać do niego i przyjdzie jeszcze tego wieczoru.

Zdało jej się, że nie łatwiejszego, niż skreślić kilka serdecznych wyrazów, takich, któreby, idąc od serca, szły wprost do serca. Ale co za trudność! List nie ma oczu, które zachodzą łzami, nie ma twarzy, która się uśmiecha zarazem smutno i słodko, nie ma głosu, który drga, nie ma rąk, które się wyciągają. List można czytać i rozumieć, jak się chce, bo to

tylko czarne litery, na obojętnym jak śmierć papierze.

Marynia darła właśnie trzeci arkusik, gdy pomarszczona jak pieczone jabłko twarz pana Plawickiego, ze świeżo ufarbowanymi wąsikami, ukazała się w uchylonych drzwiach.

— Niema Polanieckiego? — spytał.

— Niema, papo.

— A czy przyjdzie jeszcze?

— Nie wiem, papo — odpowiedziała z westchnieniem.

— Moje dziecko, jeśli przyjdzie, powiedz mu, że najdalej za godzinę wrócę i że chcę z nim pomówić.

— Och! i ja chcę z nim pomówić — pomyślała Marynia.

I przedarłszy trzeci arkusik, wzięła czwarty i poczęła się zastanawiać: czy całą klótnię obrócić w żart, czy też poprostu przeprosić? Żart mógł mu się nie podobać; w przeproszeniu było coś cieplejszego, tylko — to takie trudne! Gdyby on nie był sobie poleciał — dość było wyciągnąć rękę, ale on wyleciał jak z procy, ten złośnik, taki kochany...

I podniósłszy oczy do góry, poczęła usilnie pracować swoją ciemną główką, gdy nagle w przedpokoju ozwał się dzwonek. Maryni po-

częło bić serce jak młotem, a przez głowę prze-
latywały jej jak błyskawice pytania:

— On? czy nie on?

Drzwi się otworzyły — to był on.

Wszedł jak wilk, z głową spuszczoną, z twa-
rzą ponurą i widocznie bardzo niepewny, jak
zostanie przyjęty; ale ona na jego widok ze-
rwała się z bijącym jak u ptaka sercem, z roz-
promienionym wzrokiem, szczęśliwa, ujęta nie-
zmiernie tem, że wrócił — i pierwsza podbiegł-
szy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach.

— A jaki dobry! jaki pocziwy! — poczęła
mówić. — A czy pan wie, że ja chciałam już
pisać do pana?

Polaniecki, przycisnąwszy jej ręce do ust,
milczał przez czas jakiś, wreszcie rzekł:

— Pani mnie powinna kazać zrzucić ze
schodów.

I w uniesieniu wdzięczności, przycisnąwszy
ją do siebie, począł całować jej usta, oczy, skro-
nie i włosy, które rozwiązały się w uścisku.
W takich chwilach zdawało mu się zawsze, że
odnajduje wszystko, co stanowi zupełną i wielką
miłość. Wreszcie puścił ją i mówił dalej:

— Pani jest za dobra. Chociaż to lepiej, bo
to mnie ogromnie podbija. Przyszedłem panią
przeprosić — nic więcej. Ja zaraz ochłonąłem...
Nawymyślałem sobie od ostatnich słów i nie

umiem powiedzieć, jak mi było żal. Chodziłem po ulicy, myślałem, że może panią zobaczę w oknie i że z twarzy pani poznam, czy mogę wrócić. Potem nie mogłem wytrzymać i przyszedłem...

— To ja przepraszam, to moja wina. Widzi pan podarty papier — pisałam i pisałam.

Ale on pożerał teraz oczyma jej włosy, które upinała pośpiesznie. Z zarumienioną twarzą, od której biła radość, ze śmiejącymi się od szczęścia oczyma, wydała mu się piękniejszą, niż kiedykolwiek, i tak pożądaną, jak nigdy.

Marynia spostrzegła też, że patrzy na jej włosy, i zmieszanie jej walczyło z czysto kobiecą kokieteryą. Upinała je umyślnie niezręcznie, tak, że coraz większą falą pokrywały jej ramiona, a jednocześnie mówiła:

— Niech pan nie patrzy, bo sobie pójdę.

— To przecie moje bogactwo, — odrzekł Polaniecki — a przytem w życiu nic podobnego nie widziałem!

I wyciągnął znów ku niej ręce, ale ona poczęła się wykręcać.

— Nie wolno, nie wolno! — powtarzała: — mnie i tak wstyd. Powinnam była odejść.

Włosy jednak zwolna przyszły do ładu, poczem siedli oboje i poczęli rozmawiać spokojniej, chociaż z oczyma w oczach.

— I pani naprawdę chciała pisać? — spytał Polaniecki.

— Widzi pan podarty papier.

— Szczerze mówię, że pani zbyt dobra.

Ona, podniósłszy oczy i wpatrzywszy się w półkę, przybitą nad biurkiem, odrzekła:

— Dlatego, że to była moja вина. Tak! tylko moja!

I sądząc, że nie może być dość wspaniałomyślną, dodała po chwili, zaczerwieniwszy się po uszy i spuszczać oczy:

— Bo jednak profesor Waskowski ma słuszość w tem, co pisze o... nauce.

Polaniecki miał w tej chwili ochotę klęknąć i ucałować jej nogi. Jej wdzięk i dobroć nie tylko rozbrajały go, ale i naprawdę podbijały zupełnie.

— Żem zginął, tom zginął! — zawołał, jakby kończąc jakąś niewypowiedzianą słowami myśl. — Pani zawojuje mnie zupełnie.

A ona poczęła trząść wesolo główką.

— Oj, nie wiem! Taki tchórz ze mnie.

— Tchórz z pani? Powiem pani jedną anegdotę: W Belgii znalazem dwie panny Wauters, które miały faworyta kota. Poczciwe stworzenie, zdawałoby się, że go można do rany przyłożyć. Potem jedna z nich dostała w podarku oswojonego zająca. Cóż pani powie! Kot się go

tak bał, że ze strachu skakał na wszystkie szafy i piece. Raz poszły panny Wauters na spacer i nagle przypomniały sobie, że kot został z zajęcem: «A czy «Matou» nie zrobi jakiej krzywdy zajęcowi?» — «Matou?» on się go przecie tak boi, że ze skóry wylazi!» I poszły spokojne. W godzinę potem wracają — i niech pani zgadnie, co się stało? Oto zastały tylko uszy z zajęca. To zupełnie stosunek pań do nas. Niby się boicie, a potem zostają z nas tylko uszy!

I Polaniecki począł się śmiać, a Marynia z nim; po chwili zaś dodał:

— Wiem, że i ze mnie zostaną tylko uszy.

Mówił zresztą nieprawdę, bo miał poczucie, że będzie inaczej. Marynia też, pomyślawszy, odrzekła:

— Nie. Ja nie mam takiego charakteru.

— To i lepiej, — odpowiedział Polaniecki — bo powiem pani szczerze, jaki wniosek wyprowadzam z moich życiowych obserwacyi: oto większy egoizm bierze zawsze górę nad mniejszym.

— Albo też większa miłość poddaje się mniejszej — odpowiedziała Marynia.

— To na jedno wyjdzie. Co do mnie, wyznaję, że jakiegoś Heroda miałbym ochotę ot tak w rękę trzymać (tu Polaniecki otworzył

palce, a potem ścisnął je w pięść), ale z takim gołębiem, jak pani — to rzecz całkiem inna. Z panią, myślę, trzeba będzie wojować o to, żeby pani nie zanadto wyrzekala się siebie, a nie za dużo oddawała. Taka już pani natura, i ja wiem, kogo biore. Zresztą wszyscy to mówią, i nawet taki Maszko, który nie jest żadnym Salomonem, powiedział mi tak: «Ona z tobą może być nieszczęśliwa, ty z nią — nigdy». I miał słuszną. Oto ciekawym, jaki będzie Maszko dla swojej żony. To twarda ręka.

— A bardzo zakochany?

— Nie tak, jak był przed pewnym czasem, gdy go trochę kokietowano.

— Bo nie był taki niegodziwy, jak pewien «pan Stach».

— To będzie dziwne małżeństwo. Ona nie jest brzydka, choć jest blada i ma zawsze czerwone oczy. Ale Maszko żeni się dla majątku. Przypuszczał, że ona go nie kocha, i gdy była ta awantura z Gąrowskim, — to także rycerz! — był pewien, że te panie skorzystają ze sposobności, by zerwać. Tymczasem stało się wprost przeciwnie — i niech pani sobie wyobrazi, że Maszko jest teraz znów niespokojny, że wszystko idzie tak, jak po maśle... Wydaje mu się to podejrzane. To są jakieś dziwne rzeczy. Istnieje jakoby i pan Krasławski... Bóg wie co!...

Wszystko to razem jest głupie. Tam nie będzie szczęścia, przynajmniej takiego, jak ja sobie wyobrażam.

— A jak pan sobie je wyobraża? — spytała Marynia.

— Ja myślę, że szczęście jest w tem, żeby wziąć kobietę pewną — tak jak pani — i jasno widzieć przyszłość.

— A ja myślę, że w tem, żeby być kochaną, ale to jeszcze nie dość.

— Cóż jeszcze?

— Żeby być tego wartą i żeby...

Tu panna Marynia nie umiała przez jakiś czas znaleźć słów, w końcu jednak rzekła:

— I żeby wierzyć w męża... i żeby z nim razem pracować.

XXVIII.

Połaniecki nie mylił się. Maszce szło wszystko tak pomyślnie, pani i panna Krasławska zapowiadały się tak wzorowo, że był coraz niespokojniejszy. Chwilami sam się śmiał z tego, a ponieważ przed Połanieckim nie miał od pewnego czasu nic skrytego, więc któregoś dnia rzekł mu z całym cynizmem:

— Mój drogi — to są poprostu anioły, a mnie włosy na głowie powstają, bo w tem coś jest.

— Podziękuj lepiej Panu Bogu!

— Kiedy są za idealne, bez żadnej wady, nawet bez próżności. Wczoraj, na przykład, dałem im do zrozumienia, że jestem adwokatem tylko dlatego, iż mojem zdaniem synowie lepszych rodziców powinni się teraz do czegoś brać i czemś być. Zgadnij, co mi odpowiedziały? Oto, że to jest takie dobre stanowisko, jak i każde inne, że dla nich, byle praca, każda dobra, i że tylko lichy i próżny natury mogą się pracy wstydzić. Wystrzelały tyle ładunków nabitych komunalami, że miałem im ochotę odpowiedzieć jakąś sentencją ze wzorów kaligraficznych: «Honor jest jak przepaścista skala» — lub coś podobnego! Polaniecki, ja ci powiadam, że w tem coś tkwi. Myślałem, że papa, ale nie papa. Mam już o nim wiadomość: mieszka w Bordeaux, nazywa się tam Mr. de Langlais — i ma swoje ognisko rodzinne, nie tyle legalne, ile licznie otoczone, które utrzymuje za pensję, otrzymywaną od pani Krasławskiej.

— Co ci to szkodzi?

— Nic a nic.

— Jeśli tak, to są nieszczęśliwe kobiety — i cała rzecz.

— Tak, ale czy dochody ich odpowiadają

nieszczęściom? Pamiętaj, że mam ciężary. Przytem, widzisz, jeśli to są takie kobiety, jak się wydają, a w dodatku bogate, to gotówem się naprawdę zakochać, i to będzie głupio; jeśli się pokaże, że nie mają nic, albo mało, to gotówem się także zakochać, i to będzie jeszcze głupiej. Ona ma dla mnie urok.

— Nie. To będzie jedyna rzecz mądra, w każdym razie. Ale ty jednak myśl o sobie, Maszko, a trochę o mnie i o Pławickich. Wiesz, że ja nie mam zwyczaju w tych rzeczach folgować, a terminy się zbliżają.

— Jeszcze palę w kotle — kredytem. Wy zresztą siedzicie na hipotece Krzemienia. Za parę dni będzie u pani Krasławskiej wieczór zaręczynowy, po którym mam nadzieję, że się czegoś pewnego dowiem.

Tu Maszko począł monologować:

— Że jednak tak pozytywny człowiek, jak ja, wszedł jak w las, to nie do pojęcia. Z drugiej strony niema tu człowieka, między tymi nawet, co najlepiej wiedzą, jak kto stoi, któryby pozwolił sobie wątpić o majątku pani Krasławskiej. A jednak, one są takie szlachetne!!!!...

— Twoje obawy są też prawdopodobnie płonne — przerwał z pewną niecierpliwością Polański. — Ale ty, mój kochany, nie jesteś wcale pozytywny człowiek, boś zawsze udawał i jesz-

cze coś udajesz, zamiast patrzeć tego, co ci da-
wało chleb.

W kilka dni później odbył się rzeczywiście
zareczynowy raut Maszki, na którym była i Ma-
rynia, albowiem pani Krasławska, której się pan
Pławicki podobał, i którego koligacye były jej
wiadome, nie unikała z nim stosunków tak, jak
z Bigielami. Maszko sprowadził wszystkich swych
znajomych o rozgłośnych nazwiskach, ze szkła-
mi na oczach i z rozdzielonemi na dwie połowy
głowami, po większej części bardzo młodych
i przeważnie niezbyt lotnych. Było między nimi
pięciu braci Wyżów, których zwano: Mizio, Ki-
zio, Bizio, Breloczek i Tatuś. Dawano im nazwę
pięciu braci śpiących, gdyż, odczuwając pobudki
życiowe wyłącznie w nogach, ożywiali się tylko
w karnawale, a drętwieli zupełnie, przynajmniej
pod względem umysłowym, na post. Bukacki
kochał ich i cieszył się nimi. Był baron Kot,
który, zasłyszawszy coś od kogoś o jakimś sta-
rożytnym Kocie z Dębna, dodawał zawsze, gdy
go przedstawiano: «z Dębna», a który na wszyst-
ko, co do niego mówiono, odpowiadał stale: *Quelle*
drôle d'histoire! Maszko był z nimi wszystkimi
na: «ty», chociaż traktował ich z pewnym ro-
dzajem lekceważenia, również jak i Kopowskie-
go, młodzieńca o przepysznej, idealnej głowie i tak
samo przepysznych, jak bezmyślnych oczach. Ka-

tegorę rozumniejszych przyjaciół Maszki przedstawiali Polaniecki i Kresowski. Pani Krasławska zaprosiła również kilkanaście dam z córkami, koło których kręcili się z niedbałością i flegmą Wyże, a których panieńskie serduszka były za zbliżeniem się Kopowskiego, mniej zważając na jego duchowe podobieństwo z Hamletem, polegające na tem, że jeśli nie on, to mózg jego mógłby się zmieścić «w skorupie od orzecha». Kilka poważnych łysin stanowiło dopełnienie salonu.

Panna Krasławska, ubrana białą, mimo zaczerwienionych oczu, wyglądała nader powabnie. Był w niej istotnie jakiś kobiecy urok, polegający na dziwnym, prawie sennym spokoju. Przypominała nieco postacię Perugina. Chwilami ożywiała się, jak alabastrowa lampka, w której nagle rozbłyśnie światło — po chwili znów gasła, ale gasła nie bez wdzięku. Tego wieczoru, przybrana w lekką białą suknię, wydawała się ładniejszą, niż zwykle. Polaniecki, patrząc na nią, myślał, że może mieć dość oschłe serce i dość oschlą głowę, ale może być przyzwoitą żoną, zwłaszcza dla Maszki, który, w gruncie rzeczy, nad wszystko cenił przyzwoitość światową. Pożycie ich zapowiadało się jak chłodny i blady dzień, w którym słońce nie dopieka, ale też i burza nie grozi. Teraz oto siedzieli

w końcu salonu, nie za blisko, ale też nie za daleko od reszty towarzystwa; zajmowali się sobą nie więcej i nie mniej, niż wypadalo; w jego obejściu się z nią widać było tyle uczucia, ile było trzeba, ale przedewszystkiem chęć, żeby się wydać narzeczonym *correct* — ona zaś odpłacała mu tą samą monetą. Uśmiechali się do siebie przyjaźnie; on mówił więcej od niej, jako przyszły przewodnik i głowa domu, czasem patrzyli sobie w oczy, słowem, tworzyli najbardziej poprawną i najbardziej wzorową parę narzeczonych, jak sobie można było w znaczeniu światowem wyobrazić. «Jabym nie wytrzymał» — mówił sobie Polaniecki. — I nagle przypomniał sobie, że podczas, gdy ona tu sobie siedzi, konwencyonalnie uśmiechnięta, spokojna, biała, ten ów doktorzyna, który nie mógł «duższy od niej odedrzeć» — próchnieje gdzieś, między zwrotnikami, równie spokojnie pod ziemią, zapomniany, tak jakby nigdy nie istniał. I porwała go złość. Odczuł nietylko pogardę dla serca panny Krasławskiej, ale ten jej spokój wydał mu się czemś w złym smaku, jakąś duchową martwością, która niegdyś była w modzie i na którą wówczas, widząc w niej coś demonicznego, piorunowali poeci, ale która z czasem spospoliciiała i stała się równą moralnej nicości i głupocie. «To przedewszystkiem jest gęś, a w do-

datku gęś bez serca» — pomyślał Polaniecki. — I w tej chwili niepokój Maszki z powodu szlachetnego zachowywania się tych pań, stał mu się zrozumiałym, do tego stopnia, że Maszko urósł w jego opinii, jako człowiek przenikliwy i sprytny.

Potem począł porównywać własną narzeczoną z panną Krasławską i z wielkiem wewnętrznym zadowoleniem powiedział sobie: «Maryska to zgoła inny gatunek». Czuł, że wypoczywa duchowo, patrząc na nią. O ile tamta była jakby sztuczną rośliną, wyhodowaną nie w szerokich zdrowych powiewach, ale pod szkłem, o tyle od tej było życie i ciepło, a pomimo tego porównanie wypadło na korzyść Maryni nawet pod względem światowym. Polaniecki nie lekceważył zupełnie tak zwanej «dystrynkeyi», rozumiejąc, że jeśli nie zawsze, to często odpowiada ona pewnemu duchowemu wykończeniu, zwłaszcza u kobiet. Owóż, patrząc to na jedną, to na drugą, doszedł do przekonania, że owo wykończenie, które u panny Krasławskiej jest czemś nabytem i krępującem, u Maryni czemś wrodzonym. W tamtej było to narzuconą zewnętrznie suknią, w tej duszą i jakby naturalną cechą gatunku, uszlachetnionego przez długie wieki kultury. Biorąc z poglądów Bukackiego tyle, ile mu było potrzeba,

to jest, ile w nich było trafnego, Polaniecki przypomniał sobie, co tenże nieraz powtarzał, że kobiety, bez względu na pochodzenie, dzielą się na patrycyuszki, mające kulturę, zasady i duchowe potrzeby, wprowadzone w krew, i na parweniuszki, które ubierają się w nie, jak w mantylki, tylko do gości. Obecnie, spoglądając na szlachetny profil Maryni, Polaniecki myślał z chęlnością malomieszczanina, żeniącego się z księżniczką, że bierze patrycyuszkę w całym znaczeniu tego wyrazu.

I do tego patrycyuszkę bardzo ładną. Nieraz kobietom potrzeba tylko trochę pola i trochę szczęścia, by zakwitnąć. Marynia, która Polanieckiemu, w chwili, gdy wrócił z pogrzebu Litki, wydała się prawie brzydką, teraz dziwiła go czasami swoją urodą. Panna Krasławska wyglądała przy niej jak spłowiała suknia przy nowej, i gdyby fortuna panny Pławickiej była na wysokości jej urody, uchodziłaby niewątpliwie za piękność. I tak, Wyże, nakładając binokle na swoje końskie nosy, spoglądali na nią z pewnym podziwem, zaś baron Kot z Dębna oświadczył poufnie, iż prawdziwe szczęście, że już narzeczoną, bo gdyby tak nie było, to kto wie, czyby nie «wdepnął».

Polaniecki też mógł zauważyć tego wieczoru jeden rys swego charakteru, którego się nie do-

myślał. Oto był zazdrosny. Ponieważ był jednocześnie przekonany, że Marynia jest kobietą zupełnie pewną, której można ślepo zaufać, przeto zazdrość ta była prostą niekonsekwencyą. W swoim czasie zazdrosny był o Maszkę, i to rozumiało się samo przez się; ale teraz sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego naprzykład taki Kopowski, ze swoją głową archaniola, a ptasim mózgiem, może go drażnić dlatego tylko, że siedzi koło Maryni i zadaje jej zapewne mniej lub więcej niedorzeczne pytania, na które ona mniej lub więcej uprzejmie odpowiada. Początkowo począł sam sobie robić wyrzuty: «Trudno jednak wymagać od niej, żeby mu pokazała język!» Później wszelako osądził, że Marynia zanadto często zwraca się ku Kopowskiemu, że patrzy na niego zbyt ciekawie i odpowiada mu zbyt uprzejmie. Przy kolacyi, siedząc koło niej, był zły i milezący, a gdy go spytała o powód, odpowiedział najniedorzeczniej:

— Nie chcę psuć wrażenia, jakie sprawił pan Kopowski.

A jej podobalo się to, że był o nią zazdrosny, więc ścisnąwszy kąciکی ust dla stłumienia uśmiechu i spoglądając na niego uważnie, rzekła:

— Czy pan także sądzi, że w panu Kopowskim jest coś nadzwyczajnego?

— Owszem, owszem! On nawet, jak idzie ulicą, to zdaje się, że niesie głowę na świeże powietrze, z obawy, żeby mu jej móle nie zjadły.

Kąciki ust Maryni wytrzymały próbę, ale oczy śmiały się widocznie; wreszcie, nie mogąc wytrzymać, rzekła cicho:

— Szkaradny zazdrośnik.

— Ja? Bynajmniej!

— No, to powiem panu wyjątek z naszej rozmowy. Pan wie, że wczoraj był na estradzie w czasie koncertu wypadek katalepsyi. Dziś mówiono o tem koło nas, więc tak, między innymi, spytałam pana Kopowskiego: czy widział kataleptyka? Wie pan, co mi odpowiedział? Że każdy może mieć inne przekonania. A co? czy nie nadzwyczajny człowiek?

Połaniecki udobruchał się i począł się śmiać.

— Ale ja pani powiadam, że on wprost nie rozumie, co się do niego mówi, i odpowiada byle co.

I resztę wieczoru spędzili już przy sobie, w dobrej zgodzie. W chwili rozstania, gdy Pławiccy, mając tylko podwójną karetkę, nie mogli zabrać Połanieckiego, Marynia pochyliła się ku niemu i spytała:

— Czy brzydki grymaśnik przyjdzie jutro na obiad?

— Przyjdzie, bo kocha — odpowiedział Polaniecki, otulając jej nogi futrem.

Ona zaś odszepnęła mu do ucha, jakby wielką nowinę:

— I ja także.

A jakkolwiek on, w chwili gdy to mówił, był zupełnie szczery, ona jednak mówiła większą prawdę.

Maszko odprowadzał Polanieckiego do domu. Po drodze rozmawiali o dzisiejszym wieczorze. Maszko opowiadał, że przed przybyciem gości próbował mówić z panią Krasławską o interesach, ale mu się nie powiodło.

— Była chwila, — rzekł — że chciałem postawić kwestyę jasno, ubrawszy ją oczywiście w możliwie delikatne formy. Ale bałem się. Ostatecznie, dlaczego ja wątpię o posagu mojej narzeczonej? Tylko dlatego, że te panie obchodzą się ze mną przyzwoiciej, niżem się spodziewał. Jako humor, to jest bardzo dobre, ale boję się za daleko posuwać, bo nuż moje obawy okażą się płonne, nuż one mają rzeczywiście pieniądze — i oburzą się, gdy moja ciekawość okaże się zbyt interesowną. Trzeba się i z tem liczyć, bo mogę się rozbić u portu.

— Więc dobrze — odpowiedział Polaniecki: — dajmy na to, i to zresztą jest prawdopodobne, że mają; ale gdyby się pokazało, że nie — co

zrobisz wówczas? Czy masz gotowy plan? Zerwiesz z panną Krasławską, czy się z nią ożenisz?

— Nie zerwę w żadnym razie, bo nie na tem nie zyskam. Jeśli moje małżeństwo nie przyjdzie do skutku, zbankrutuję i tak. Ale powiem wówczas jasno, jakie jest moje położenie finansowe, i przypuszczam, że panna Krasławska ze mną zerwie.

— Jeśli zaś nie?

— Zakocham się w niej i zacznę układać się z wierzycielami. Przestaną, jak mówisz, «udawać» — i będę się starał zarobić na chleb dla nas obojga. Jestem niezłym adwokatem. O tem wiesz.

— To jest dość przyzwoite, — odpowiedział Połaniecki — ale mnie to nie uspokaja co do Pławickich i co do mnie.

— Wy jesteście w lepszym położeniu od innych, bo siedzicie na Krzemieniu. W danym razie ty weźmiesz wszystko w swoje twarde łapy i coś tam wyciśniesz. Gorzej z tymi, którzy mi wierzyli na słowo, i powiem ci w oczy, że mi więcej o nich chodzi. Miałem, a nawet mam, ogromne zaufanie... To dziś moja bolączka. Ale jeśli mi dadzą czas, to jakoś wylatam... Gdybym zaś miał trochę szczęścia w domu, a w niem sprężynę do roboty...

Tu doszli do mieszkania Polanieckiego, więc Maszko nie dokończył myśli. W chwili jednak, gdy się mieli pożegnać, rzekł nagle:

— Słuchaj. Ty mnie masz trochę za szuje, a ja mniej nią jestem, niż myślisz. *Udawałem* — jak powiadasz — prawda! musiałem się wykręcać, jak piskorz, i w tych wykrętach schodziłem czasem z bitej drogi... Alem się zmęczył, i powiem ci otwarcie, że chce mi się trochę szczęścia, bom go nie miał. Dlatego chciałem się żenić z twoją dzisiejszą narzeczoną, choć jest niemajątna. A co do panny Krasławskiej, czy ty wiesz, że są czasem chwile, w których wolalbym, żeby się okazało, że nic nie ma, ale żeby w zamian nie opuściła mnie, gdy się dowie, że i ja nic nie mam. To ci szczerze mówię... A teraz: dobranoc!

— No! — mówił sobie Polaniecki — to coś w Maszce nowego.

I wszedł do bramy. Stanąwszy u drzwi, usłyszał ze zdziwieniem w swoim mieszkaniu fortepian. Służący powiedział mu, że to Bigiel czeka na niego od dwóch godzin.

Polaniecki zaniepokoił się, ale pomyślał, że gdyby powodem bytności Bigiela było co nie-pomyślnego, toby nie wygrywał na fortepianie. Jakoż okazało się, że Bigielowi potrzeba było

pilno tylko podpisu Połanieckiego do sprawy, która musiała być załatwiona nazajutrz rano.

— Mogłeś mi zostawić papiery i iść spać — rzekł Połaniecki.

— Ja też wypałem się u ciebie na sofie, a potem siadłem do fortepianu. Niegdyś grałem tak dobrze, jak i na wiolonczeli, ale teraz już palce ciężkie. Twoja Marynia podobno gra: to taka miła rzecz w domu!

A Połaniecki począł się śmiać swoim szczerym, życzliwym śmiechem.

— Moja Marynia? Moja Marynia posiada talent ewangeliczny: «nie wie lewica, co robi prawica». Biedactwo kochane! Nie ma też żadnej pretensyi i grywa tylko wówczas, kiedy ją o to proszą.

Na to rzekł Bigiel:

— Niby się to wyśmiewasz, ale tak się wyśmiewają tylko zakochani.

— Bo też jestem zakochany najzupełniej. Przynajmniej teraz tak mi się wydaje, a wogóle muszę powiedzieć, że mi się to wydaje coraz częściej. Chcesz, Bigiel, herbaty?

— Dobrze. Wracasz od pani Krasławskiej?

— Tak.

— Cóż Maszko? Dobija do brzegu.

— Przed chwilą się z nim rozstałem. Od prowadzał mnie do bramy. Jednakże on mówi

czasem takie rzeczy, którychby się po nim nikt nie spodziewał.

I Polaniecki rad, że ma z kim pogawędzić, i czując potrzebę poufnej rozmowy, począł opowiadać, co słyszał od Maszki i jak dalece zdziwił się, znalazłszy romantyka pod skórą człowieka tego rodzaju.

— Maszko nie jest szują — rzekł Bigiel. — On jest tylko na drodze do rozmaitych zboczeń, a powodem tego jest jego próżność i cześć dla pozorów. Ale z drugiej strony, ta cześć dla pozorów chroni go od ostatecznego upadku. Co zaś do romantyka, którego w nim odkryłeś...

Tu Bigiel obciął koniec cygara, zapalił je z wielką uwagą, marszcząc przytem brwi, i siadłszy wygodnie, mówił dalej:

— Bukacki powiedziałby na ten temat z dziesięć ironicznych paradoksów o naszym społeczeństwie... To mi utkwilo w głowie, coś mi mówił, jak on napadał na nas za to, że tu się zawsze coś albo kogoś kocha. Jemu się zdaje, że to głupie i do niczego, a ja w tem widzę wielki przymiot. Trzeba czemś na świecie stać, a co my mamy? Pieniądzy nie mamy, rozumu o tyle o ile, daru oryentowania się w położeniu niewiele, gospodarności — mało; my naprawdę mamy to jeszcze, że tu się prawie mimowoli, przez jakiś ogólny nastrój, coś albo kogoś kocha,

a jeśli się nawet nie kocha, to się czuje tego potrzebę. Ty wiesz, że ja jestem rozsądny człowiek i kupiec, więc mówię trzeźwo. Ja się nad tem zastanawiałem z powodu Bukackiego... Taki Maszko naprzykład gdzieindziej byłby szelmą z pod ciemnej gwiazdy. I takich znam wielu. Tu jednak nawet pod szują możesz się doskrobać człowieka — i to jest prosta rzecz! Bo ostatecznie, póki się w brzuchu ma jeszcze jakąś iskrę, póty się nie jest zupełnem bydlęciem — a tu się ją ma, właśnie dlatego, że się coś kocha.

— Przypominasz mi Waskowskiego. To, co mówisz, to niedalekie od jego poglądów na miśnię najmłodszych z Aryów.

— Co mi tam Waskowski! Mówię to, co myślę. Wiem jedno: odejmij nam to — a rozlecimy się, jak beczka bez obręczy.

— Więc słuchaj, co ci powiem. Jest to rzecz we mnie dość dawno rozstrzygnięta. Kochać, lub nie kochać kogoś — to kwestya osobista, ale rozumiem, że coś trzeba w życiu kochać. I ja także zastanawiałem się nad tem. Po śmierci tego oto dziecka, czułem, że pewne strony we mnie licho wzięło — czasem czuję to jeszcze. Dziś nie, ale miewam chwile — jakby ci powiedzieć: odpływu, wyczerpania, zwątpień — i jeśli się pomimo tego żenię, to dlatego, iż

rozumiem, że trzeba dać życiowy i silny podkład pod ogólniejszą miłość...

— Dlatego i nie dlatego, — odpowiedział nieubłagany w swym rozsądku Bigiel — bo ty się żenisz wcale nie z powodów czysto rozumowych. Bierzesz ładną i pocziwą dziewczynę, do której cię ciągnie, i nie wmawiaj w siebie, że jest inaczej, bo i ty zaczniesz udawać... To, mój kochany, te wątpliwości przed ożenieniem się ma każdy. Ja, jak mnie widzisz — nie żaden filozof, a dziesięć razy na dzień pytałem siebie przed ślubem: czy ja dość kocham moją przyszłą? czy tak jak potrzeba? czy nie za mało duszą, a nie za wiele zmysłami? Bóg wie co! Potem ożeniłem się, wziąłem dobrą kobietę, i jest nam dobrze. Wam również będzie dobrze, byleście po prostu rzeczy brali, bo to ciągle zachodzenie w głowę i rozpatrywanie jakichś tajników serca — to dalibóg głupstwo.

— Może i głupstwo — odpowiedział Połaniecki. — Ja też nie mam zamięłowania do leżenia do góry brzuchem i analizowania się od rana do wieczora, ale nie mogę nie widzieć faktów.

— Jakich faktów?

— Takich, jak na przykład, że moje uczucie nie jest tem, czem było na początku. Myślę, że tem będzie, przyznaję, że do tego idzie. Żenię

się mimo tych spostrzeżeń tak, jakby one nie istniały, ale je robię.

— To wolno.

— I widzisz, co jeszcze prócz tego myślę: że trzeba jednak, by okna domu wychodziły na słońce, inaczej będzie w mieszkaniu zimno.

— Toś dobrze powiedział — odrzekł Bigiel.

XXIX.

Tymczasem zima poczęła się przełamywać, nadchodził koniec postu, a tem samem zbliżał się termin ślubu tak Polanieckiego, jak Maszki. Bukacki, zaproszony na drużbę, odpisał mu między innemi, co następuje: «Wytrącać wszechsiłę twórczą ze stanu ogólnego, to jest ze stanu doskonałego spoczynku, i zmuszać ją za pomocą zawieranych na ziemi małżeństw do wcielenia się w mniej więcej wrzaskliwe szczegóły, wymagające kołyszek i zabawiające się trzymaniem wielkiego palca od nogi w ustach, jest zbrodnią. Przyjadę jednak, ponieważ piece są u was lepsze, niż tu». Jakoż na tydzień przed świętami przyjechał i przywiózł w darze Polanieckiemu misternie ozdobną pergaminową kartę, w rodzaju klepsydry pogrzebowej, na której był

napis: «Stanisław Połaniecki, po długiem i ciężkiem kawalerstwie etc.»

Połaniecki, któremu karta się podobala, poniosł ją nazajutrz koło południa Maryni. Zapomniał jednak, że to niedziela, i ułożywszy sobie z góry mile spędzenie czasu do obiadu, doznał jakby rozczarowania, zastawszy Marynię w kapeluszu:

— Pani wychodzi? — spytał.

— Tak. Do kościoła. Dziś niedziela.

— A, niedziela!... Prawda! A ja myślałem, że sobie posiedzimy razem. Takby było przyjemnie...

A ona podniosła na niego swoje pogodne niebieskie oczy i rzekła z prostotą:

— A służba boża?

Połaniecki na razie przyjął te słowa tak, jakby był przyjął każde inne, nie przewidując, że w duchowym procesie, jaki mu później przyszło przechodzić, odegrają one, właśnie z powodu swej prostoty, pewną rolę. Tymczasem odrzekł, jakby powtarzając je mechanicznie:

— Mówi pani: «służba boża». Owszem! Ja mam czas, pójdziemy razem.

Marynia przyjęła to oświadczenie z wielkiem zadowoleniem. Po drodze rzekła:

— Ja, to im jestem szczęśliwsza, tem bardziej Pana Boga kocham.

— To także znak dobrej natury; inni tylko myślą o Bogu, jak bieda.

I w kościele przyszło mu znów na myśl to, o czem myślał w czasie pierwszej swej bytności w Krzemieniu, gdy razem ze starym Plawickim byli na nabożeństwie w Wątorach: «Wszystkie filozofie i systemy lichu bierze, jeden po drugim, a msza po staremu się odprawia». Zdawało mu się, że jednak jest w tem coś niepojętego. On, który z powodu Litki zetknął się ze śmiercią w sposób tak bolesny, wracał ustawicznie do tych ciemnych zagadnień, ilekroć zdarzyło mu się być czy na cmentarzu, czy w kościele na mszy, czy w jakichkolwiek okolicznościach, w których odbywało się coś, nie mającego związku z bieżącymi realnymi potrzebami życia, ale obliczonego na pozagrobową przyszłość. Uderzyło go, jak jednak w życiu wiele się robi dla tej przyszłości, i jak, mimo wszelkich filozofowań, zwątpień, żyje się tak, jakby ona była zupełnie niewątpliwą, ile się dla niej poświęca z osobistych małych egoizmów, ile się spełnia filantropijnych czynów, jak się wznosi ochrony, szpitale, kościoły, a wszystko na ten rachunek, płatny dopiero poza grobem.

Jeszcze bardziej uderzyła go myśl, że naprawdę, żeby się pogodzić z życiem, trzeba na-przód pogodzić się ze śmiercią, a bez wiary

w coś zagrobowego, jest to wprost niemożliwe. Natomiast, gdy się ją ma, kwestya upada, jakby jej nie było. «Niech dyabli wezmą żalobę — włóżmy sobole!» Bo jeśli tak, to czegoż można chcieć więcej? Ma się przed sobą tylko widok jakiegoś nowego istnienia, w najgorszym razie, ogromnie ciekawego — i ta pewność równa się spokojowi i ciszy. Przykład tego miał teraz Polaniecki w Maryni. Z powodu nieco krótkiego wzroku, trzymała głowę schyloną nad książką, ale gdy chwilami podnosiła ją, Polaniecki widział twarz tak pogodną, tak spełna roślinnego niemal spokoju, i tak ukojoną, że po prostu anielską. — «To jest szczęśliwa kobieta, i będzie zawsze szczęśliwa! — mówił sobie. — I w dodatku ma rozum, bo gdyby po stronie przeciwnej była przynajmniej pewność — byłaby zarazem i ta pociecha, jaką daje prawda — ale mordować się dla rozmaitych znaków zapytania — to czyste głupstwo».

Po drodze do domu, Polaniecki, myśląc ciągle o tym wyrazie Maryni, rzekł:

— W kościele wyglądała pani jak jakiś profil Fra Angelica. Miała pani twarz istoty zupełnie szczęśliwej.

— Bo też ja teraz jestem szczęśliwa. A wie pan dlaczego? Oto dlatego, że jestem lepsza, niż byłam. Miałam wówczas w sercu urazę i nie-

chęć, nie miałam przed sobą żadnej nadziei, i wszystko to razem złożyło się na taką gorycz, że strach! Powiadają, że nieszczęście uszlachetnia wybrane dusze, ale ja nie jestem wybraną duszą. Zresztą, może nieszczęście uszlachetnia, ale gorycz, ale uraza, ale niechęć — psuje... To jak trucizna.

— Bardzo mnie pani wówczas nienawidziła? Marynia spojrzała na niego i odrzekła:

— Tak nienawidziłam, że po całych dniach myślałam tylko o panu.

— Maszko ma spryt — odpowiedział Polaniecki; — on niegdyś określił mi to tak: «Wolała ciebie nienawidzić, niż mnie kochać».

— Oj, że wołałam, to wołałam!

Tak rozmawiając, doszli do domu. Polaniecki miał wtedy czas rozwinać swoją pergaminową klepsydrę i pokazać ją Maryni. Ale jej koncept ten się nie podobał. Brała ona małżeństwo nie tylko od strony serca, ale i od strony religii. «Z takich rzeczy się nie żartuje» — rzekła — i po chwili przyznała się Polanieckiemu, że czuje urazę do Bukackiego.

Po obiedzie nadszedł Bukacki. Przez te kilka miesięcy pobytu we Włoszech stał się jeszcze cieńszym, co było dowodem przeciw skuteczności «chianti» na katar żołądka. Nos jego przypominał subtelnością ostrze noża, a humory-

styczna, ironicznie uśmiechnięta twarzyczka uczyniła się jakby porcelanową i nie większą od pięści dorosłego mężczyzny. Był on krewnym i Polanieckiego, i Maryni, i dlatego mówił przy nich, co mu się podobało. Od progu niemal oświadczył im, że wobec coraz częstszych obecności na świecie zboczeń umysłowych, może tylko ubolewać, ale nie dziwi się, iż się zaręczyli. Przyjechał wprawdzie w nadziei, że potrafi ich jeszcze uratować, ale widzi teraz, że się spóźnił, i że nie pozostaje mu nic innego, tylko rezygnacja. Marynia, słysząc to, poczęła się oburzać, ale Polaniecki, który go lubił, rzekł:

— Zachowaj koncepta na mowę weselną, którą musisz powiedzieć, a teraz powiedz nam tylko: jak się ma nasze profesorzystwo?

Na to Bukacki odpowiedział poważnie:

— Dostał pomieszania zmysłów.

— Niech pan nie żartuje w ten sposób — rzekła Marynia.

A Polaniecki dodał:

— I tak marnie.

Lecz Bukacki ciągnął z równą powagą:

— Profesor Waskowski ma pomieszanie zmysłów, a oto są moje dowody: po pierwsze, chodzi po Rzymie bez kapelusza, a raczej chodził, bo obecnie jest w Perugii; powtóre, napadł na młodą i przystojną Angielkę, dowodząc jej, że

Anglicy są tylko w prywatnem życiu chrześcijanami, ale że stosunek Anglii do Irlandyi nie jest chrześcijański; po trzecie: drukuje broszurę, że misya ożywienia i odrodzenia dziejów duchem chrześcijańskim powierzona została najmłodszemu z Aryów. Pozwólcie, że to są dowody.

— Wiedzieliśmy to przed wyjazdem profesora, i jeśli nie więcej mu nie grozi, to mam nadzieję, że zobaczymy go w dobrym zdrowiu.

— On nie myśli o powrocie.

Lecz Polaniecki wydobył notes, napisał kilka słów ołówkiem i, podawszy Maryni, rzekł:

— Niech pani przeczyta i powie, czy dobrze?

— Skoro przy mnie piszą, usuwam się — rzekł Bukacki.

— Nie, nie! to nie sekret!

A Marynia zaczerwieniła się jak wiśnia z radości, i jakby nie chcąc oczom wierzyć, poczęła pytać:

— Czy to naprawdę? Nie?...

— To zależy od pani.

— Ach, panie Stachu!... Anim o tem marzyła. Muszę powiedzieć papie, muszę!

I wybiegła z pokoju.

— Gdybym był poetą, tobym się powiesił — rzekł Bukacki.

— Dlaczego?

— Bo jeśli parę słów, skreślonych ręką współnika Domu Bigiel i Spółka, może zrobić więcej wrażenia, niż najpiękniejszy sonet, to lepiej jest być chłopcem młynarskim, niż poetą.

Ale Marynia w uniesieniu radości zapomniała książeczki notatkowej, więc Polaniecki pokazał ją Bukackiemu, mówiąc:

— Czytaj.

Bukacki przeczytał:

«Po ślubie Wenecya, Florencya, Rzym, Neapol — czy dobrze?»

— Więc to podróż do Włoch?

— Tak. Wyobraź sobie, że to biedactwo nie było nigdy w życiu za granicą, a Włochy wydawały się jej zawsze zaczarowanym krajem, o którego widzeniu ani marzyła. To wielka radość dla niej — a u licha, cóż dziwnego, że ja trochę myślę o jej przyjemnościach!

— Miłość i Włochy! O Boże, ileś ty już razy na to patrzył! Wszystko to stare, jak świat.

— Nie prawda! Zakochaj się, a obaczysz, że znajdziesz w tem coś nowego.

— Mój kochany, nie o to chodzi, że ja się jeszcze nie kocham, tylko o to, że się już nie kocham. Dawno wygrzebałem z piasku tego Sfinksa i nie jest już on dla mnie zagadką.

— Bukacki, ożeń się.

— Nie mogę. Mam za słaby wzrok i za słaby żołądek.

— Cóż to za przeszkoda?

— Bo widzisz, kobieta jest jak papierowa karta. Anioł pisze z jednej strony, dyabeł z drugiej, papier przebija, słowa się mieszają, i robi się bigosik, którego ja nie mógłbym ani przeczytać, ani strawić.

— Że też ty możesz całe życie żyć konceptami!

— Tak samo umrę, jak i ty, który się żenisz. Nam się zdaje, że my myślimy o śmierci: ona o nas lepiej myśli.

Tymczasem Marynia wróciła z ojcem, który uściskał Polanieckiego i rzekł:

— Mówiła mi Marynia, że chcecie jechać do Włoch po ślubie.

— Jeśli moja przyszła pani się zgodzi.

— Przyszła pani nietylko się zgadza, — odpowiedziała Marynia — ale straciła głowę z radości i ma ochotę skakać po pokoju, jakby miała dziesięć lat.

Na to pan Pławicki rzekł:

— Jeśli krzyżyk samotnego starca może się wam przydać w daleką podróż, to was żegnam.

I wzniosł oczy i rękę ku górze, ku niewymownej radości Bukackiego, lecz Marynia ściąg-

nęła w dół wzniesioną rękę pana Pławickiego i, pocałowawszy ją, rzekła, śmiejąc się:

— Papusiu, będzie czas, toż my się dopiero tam kiedyś po ślubie wybieramy.

— I właściwie mówiąc, — dodał Bukacki — to kupuje się bilety, oddaje się na wagę rzeczy i jedzie się — nic więcej.

Na to pan Pławicki zwrócił się do młodego cynika i odpowiedział z pewnem namaszczeniem:

— Czy jużście do tego doszli, że błogosławieństwo samotnego starca i ojca uważacie za zbyteczne?

Lecz Bukacki, zamiast odpowiedzi, objął w pól pana Pławickiego, pocałował go w okolicę kamizelki i rzekł:

— A czyby «samotny starzec» nie zagrał w pikietę, żeby tym dwom szalonym głowom dać się wygadać?

— Ale z rubikonem? — odpowiedział pan Pławicki.

— Ze wszystkiem, czego pan chce.

To powiedziawszy, zwrócił się do młodej pary:

— Najmijcie mnie za przewodnika po Włoszech.

— Ani myślę — odpowiedział Polaniecki. — Byłem tylko w Belgii i we Francyi, Włoch nie

znam, ale chcę widzieć to, co nas będzie interesowało, nie to, co ciebie. Widziałem takich, jak ty, i wiem, że wy przez przerafinowanie dochodzicie do tego, że nie kochacie sztuki, tylko własne znanstwo.

Tu Polaniecki mówił dalej do Maryni:

— Tak, oni do tego dochodzą. Tracą poczucie wielkiej i prostej sztuki, a szukają czegoś, co może zająć jeszcze ich przesyt — i dowieść znanstwa. Nie widzą drzewa, tylko wyszukują sęków. Nie obchodzą ich najwięksi, których my pojedziemy oglądać, tylko jacyś najmniejsi, o których nikt nie słyszał; wydobywają jakieś nazwiska z pod ciemnej gwałzdy; zajmują się tą lub ową manierą, wmawiają w siebie i w drugich, że rzeczy gorsze, bardziej niedoleżne, są ciekawsze od lepszych i doskonalszych. My za jego przewodem moglibyśmy nie zobaczyć całych kościołów, a widzielibyśmy rozmaite rzeczy, które przez lupę trzeba oglądać. Mówię pani, że wszystko to przesyt, nadużycie i przerafinowanie — a my sobie proszą ludzie.

Marynia patrzała na niego z dumą, jakby chciała powiedzieć: «O to, to się nazywa mówić!» Duma zaś jej wzrosła jeszcze, gdy Bukacki rzekł:

— Masz wszelką słusność.

Lecz oburzyła się, gdy po chwili dodał:

— A powtóre, gdybyś jej nie miał, przed tym oto trybunałem nie wygrałbym sprawy.

— Przepraszam, ja wcale nie jestem zaślepioną.

— A ja wcale nie jestem znawcą sztuki.

— Owszem, pan jest.

— Jeśli jestem, tedy oświadczam, że znawstwo obejmuje tylko więcej szczegółów, wcale zaś nie przeszkadza kochaniu wielkiej sztuki, i niech pani wierzy nie Polanieckiemu, ale mnie.

— Nie! Wolę wierzyć panu Polanieckiemu.

— Co było do przewidzenia — odpowiedział Bukacki.

Marynia poczęła spoglądać to na jednego, to na drugiego, z trochę zakłopotaną miną, ale tymczasem pan Plawicki nadszedł z kartami. Narzeczeni chodzili pod rękę po pokojach, Bukacki zaś wkrótce poczał się nudzić i nudził się coraz bardziej. W końcu wieczora, humor, który go ożywiał, zgasł, mała twarzyczka stała się jeszcze mniejszą, nos jeszcze ostrzejszym i wyglądał jak zwiedły liść. Wieczorem, gdy wyszli razem z Polanieckim, ten spytał:

— Coś ci zbrakło animuszu?

— Bo ja jestem jak maszyna — odrzekł Bukacki: — póki mam w sobie paliwo, póty jadę,

ale jak wieczorem ranny zapas się wyczerpie, to staję.

A Polaniecki spojrzał na niego uważnie:

— Czemże ty w sobie palisz?

— Są rozmaite rodzaje węgla. Chodź do mnie, dam ci filiżankę dobrej kawy, to nas ożywi.

— Słuchaj, to jest delikatna rzecz, ale mnie ktoś mówił, że ty się oddawna morfinizujesz.

— Od bardzo niedawna — odrzekł Bukacki. — Żebyś ty wiedział, jakie to horyzonty otwiera.

— I zabija. Bójże ty się Boga!

— I zabija. Powiedz mi tak szczerze, czy tobie kiedy przyszło do głowy, że można mieć poprostu nostalgię śmierci?

— Nie — rzekł Polaniecki; — ja rozumiem rzecz przeciwną.

Na chwilę umilkli.

— Ale ja ci nie dam ani morfiny, ani opium, — rzekł wreszcie Bukacki — tylko dobrej kawy i butelkę ucziwego Bordeaux. Będzie to niewinna orgia.

Po jakimś czasie doszli do mieszkania Bukackiego. Było to mieszkanie prawdziwie zamężnego człowieka, tracące nieco pustką, ale pełne drobiazgów, mających związek ze sztuką, obrazów i rycin. Lampy paliły się w kilku pokojach, bo Bukacki nie znosił ciemności nawet podczas snu.

«Bordeaux» znalazło się w pogotowiu, a pod maszynką od kawy zapłonął po chwili błękitny płomyk. Bukacki wyciągnął się na sofie i rzekł nagle:

— Bo może ty jednej rzeczy nie przypuszczasz, że, jak mnie widzisz takiego filigranowego, jak jestem, ja nie a nie nie boję się śmierci.

— To jedno czasem przypuszczałem, — odpowiedział Polaniecki — że ty dowcipkujesz i dowcipkujesz, ludzisz sam siebie i drugih, a w gruncie rzeczy w tobie tego niema — i że to wszystko jest sztuczne.

— Głupota ludzka bawi mnie trochę.

— Ale ty, jeśli się masz za mądrego, jak mogłeś sobie tak marnie życie urządzić?

Tu Polaniecki obejrzał się na bibloty, obrazy i dodał:

— Bo w całym tem otoczeniu ty jednak marnie żyjesz.

— Dosyć marnie.

— Ty także należysz do tych, którzy *udają!* Co za choroba w tem społeczeństwie! Pozujesz i całą rzecz!

— Czasem. Ale zresztą to się zmienia w naturę.

Bukacki zwolna, pod wpływem «Bordeaux»,

ożywiał się i stawał się rozmowniejszym, jakkolwiek nie powracała mu wesołość.

— Widzisz, — rzekł — jednej rzeczy nie udaję. Oto wszystko, co sam mogłem sobie powiedzieć, lub co ktoś może mi powiedzieć, pomyślałem i powiedziałem sobie oddawna. Prowadzę najgłupsze i najbardziej czerze życie, jakie można prowadzić. Naokoło mnie jest ogromna nicość, której się boję i którą zarzucam takimi oto gratami, jakie widzisz w tym pokoju, żeby się mniej bać. Nie lękać się śmierci to co innego, bo się po śmierci nie czuje, ani myśli. Wtedy ja będę stanowił także część nicości, ale czuć ją, żyjąc, uświadamiać ją, zdawać sobie z niej sprawę, dalibóg, nie może być nic podlejszego. Przytem stan mego zdrowia jest zły naprawdę i odejmuje mi wszelką energię. Nie mam w sobie paliwa, więc go sobie dodaję. Mniej w tem jest pozy i udawania, niż przypuszczasz. Że poddawszy sobie paliwa, biorę życie ze strony humorystycznej, to naśladuję w tem chorego, który leży na tym boku, na którym mu leżeć najdogodniej. Tak mi najdogodniej, a że pozycja jest sztuczna, zgadzam się; każda inna jednak byłaby dokuczliwsza. I oto przedmiot wyczerpany.

— Gdybyś ty się wziął do jakiej roboty.

— Dajże spokój. Naprzód, ja mnóstwo rze-

czy wiem, a nie nie umiem; powtóre, jestem chory; po trzecie, radźże paralitykowi, żeby dużo chodził, kiedy on nie włada nogami. Przedmiot wyczerpany! Napij się oto wina, i mówmy o tobie. To dobra panna, panna Pławicka, i dobrze robisz, że się z nią żenisz. Co ja tam gadam sobie w dzień, to się nie liczy. To dobra panna i ona ciebie kocha...

Tu Bukacki, ożywiony i podniecony widocznie winem, począł pośpiesznie mówić:

— Bo co ja po dniu gadam, to się nie liczy. Teraz jest noc, pijemy wino, i przychodzi szersza chwila. Chcesz jeszcze wina, czy kawy? Lubię ten zapach: trzeba zawsze mieszać mokkę i cejlon w równych częściach... Przychodzi teraz szersza chwila! Wiesz, co ja w gruncie rzeczy myślę. Nie mam dobrego pojęcia, ile szczęścia może dać sława, bom jej nie posiadał, a że świątynia w Efezie już spalona, więc niema przede mną widoków... Przypuszczam jednak, ot tak sobie, że tę ilość mogłaby zjeść mysz, i to nietylko na czczo, ale po dobrem śniadaniu w spiżarni... Wiem natomiast, co jest dostatek, bo go trochę mam; wiem, co są podróże, bom się włóczył; wiem, co swoboda, bom swobodny; wiem, co kobiety — oj, u dyabła, aż nadto! — i wiem, co książki. Prócz tego, w tym pokoju mam trochę obrazów, trochę rycin i trochę por-

celany... A teraz słuchaj, co ci powiem: wszystko to nie! wszystko marność! głupstwo! próchno! w porównaniu z jednym sercem, które kocha! Ot, rezultat moich spostrzeżeń — tyłkom ja doszedł do tego na końcu, co dla normalnych ludzi jest początkiem.

Tu zaczął gorączkowo mieszać łyżeczką w kawie, a Połaniecki, który był bardzo żywy, zerwał się i rzekł:

— A ty bestyo jedna! A cóżeś to gadał przed kilku miesiącami, że pyrgasz do Włoch, bo tam ciebie nikt nie kocha, ani ty nikogo nie kochasz. Pamiętasz, może się będziesz wypierał?

— A cóżem gadał dziś rano tobie i twojej narzeczonej? żeście powaryowali? A teraz tobie mówię, że dobrze robisz! Cóż ty chcesz ode mnie logiki! Gadać a mówić, to dwie rzeczy różne. A teraz jestem szerszy, bom wypił dwie butelki wina.

Lecz Połaniecki zaczął chodzić po pokoju i powtarzać:

— No, dalibóg! to coś bajecznego. Ot, jaki jest grunt rzeczy i co oni wszyscy mówią, gdy się ich przyciśnie.

Bukacki nalał trochę drżącą ręką drugą filiżankę kawy i mówił dalej:

— Kochać — to już dobrze, ale jest jeszcze

coś lepszego — to być kochanym. Nad to już niema nic! Co do mnie, oddalbym te wszystkie... Ale o mnie nie warto mówić. Życie jest to lichy i bez talentu napisana komedia — nawet to, co ogromnie boli, bywa czasem jak lichy melodramat; ale jeśli w życiu jest co dobrego, to tylko być kochanym. Wyobraź sobie, żem tego nie zaznał — a tyś to znalazł, nie szukając...

— Tego nie mów, bo nie wiesz, jak mi to przyszło.

— Wiem. Mówił mi Waskowski... To zresztą wszystko jedno. Rzecz w tem, żebyś to umiał cenić.

— A czegoż ty chcesz? Rozumiem także, że mnie trochę kochają, więc żenię się i koniec.

Na to Bukacki położył mu rękę na ramieniu.

— Nie, Polaniecki. Ja jestem głupcem względem siebie samego, ale niezłym obserwatorem tego, co się koło mnie dzieje. To nie koniec — to początek... Większość mężczyzn mówi tak, jak ty: «żenię się — i koniec!» — i większość się myli.

— Tej filozofii ja nie rozumiem.

— A to widzisz o to chodzi: nie dość kobietę wziąć — trzeba jej się także dać — i trzeba, żeby to czuła. Rozumiesz?

— Nie bardzo.

— No, to udajesz naiwnego: trzeba, żeby się

czuła nietylko własnością, ale i właścicielką. Dusza za duszę! — inaczej można kark skrócić. Małżeństwa bywają dobre, albo złe. Maszki będzie złe dla dwudziestu powodów, a między innymi i dla tego, o którym chcę mówić.

— On jest innego zdania, ale dalibóg szkoda, żeś ty się nie ożenił, skoro tak dobrze rozumiesz, jak powinno być.

— Gdyby rozumieć i działać zgodnie z rozumem znaczyło toż samo, nie byłoby rozmaitych — przeróżnaitych — upadków, od których nas wszystkich kości bołą. Zresztą wyobraź sobie mnie żeniącego się!

Tu Bukacki począł się śmiać swoim cienkim głosikiem. Wróciła mu nagle wesołość, a z nią i widzenie rzeczy ze strony komicznej.

— Ty będziesz śmieszny, a cóż dopiero ja!... Boki zrywać, co to za chwila! Obaczysz za dwa tygodnie... Naprzykład, jak się będziesz ubierał do kościoła. Tu miłość, bicie serca, poważne myśli, nowa epoka... w życiu; tam ogrodnik z bukietami, frak, zgubione spinki, zawiązywanie krawata, wciąganie lakierów — wszystko razem, jeden chaos, jeden bigos... Ratujcież mnie anieli niebiescy! Lituję się nad tobą, mój kochany — i proszę, byś nie brał na seryo tego, com mówił. Zdaje się, że to nów, a ja na nowiu miewam manię mówienia sentymentalnych

komunalów. Wszystko głupstwo!... To nów — nie więcej! Byłem tkliwym, jak owca, która straciła pierworodne — i niech mnie kaszel porwie, jeśli nie mówił komunalów.

Lecz Polaniecki napadł na niego:

— Widziałem mnóstwo rzeczy marnych, ale wiesz, co mi się wydaje najmarniejszem w tobie i w tobie podobnych? Oto, że wy, którzy wyzwalacie się ze wszystkiego, nie uznajecie nad sobą nic, boicie się jak ognia każdej uczciwej prawdy dlatego tylko, że ktoś kiedyś mógł ją już wypowiedzieć. Jakie to liche, to dalibóg słów brak! Co do ciebie, mój kochany, szerszy byłeś przed chwilą, niż teraz... Teraz znów jesteś pudlem, który tańczy na dwóch nogach — ale ja ci powiadam, że dziesięciu takich, jak ty, nie wytlómaczy mi, że nie wygrał wielkiego losu na loteryi.

I pożegnał Bukackiego z pewnym gniewem — w drodze jednak uspokoił się i powtarzał ustawicznie:

— Ot, gdzie prawda! Ot, co mówi taki Maszko i nawet taki Bukacki, gdy chce być szczerym — a ja wygrałem poprostu wielki los — i nie strwo- nię tego, com wygrał.

Poczem, wróciwszy do domu i spojrzawszy na fotografię Litki, rzekł głośno: «Moje kociątko kochane!...» Aż do chwili zaśnięcia myślał na-

stępnie o Maryni ze słodyczą i zarazem ze spokojem człowieka, który czuje, że jakieś wielkie zadanie życiowe zostało stanowczo rozwiązane i dobrze rozwiązane.

Bo jednak, mimo słów Bukackiego, był przekonany, że gdy się ożeni — to tem samem wszystko będzie rozstrzygnięte i skończone.

XXX.

«Katastrofa», jak mówił Bukacki, wreszcie nadeszła. Polaniecki doświadczył też, że jeśli jest w życiu wiele takich dni, w których człowiek nie może polapać własnych myśli, do takich należy przedewszystkiem dzień ślubu. Chwilami kilkanaście naraz kręciło się w jego mózgu, tak niewyraźnych, że podobnych raczej do nieuświadomionych dokładnie wrażeń, niż do myśli. Czuł więc, że w życiu jego zaczyna się nowa epoka, że bierze na siebie wielkie obowiązki, które spełnić trzeba sumiennie i poważnie, a jednocześnie, ale to zupełnie jednocześnie, dziwił się, że kareta dotąd nie zajeżdża, i zdziwienie swoje wyrażał w kształcie groźby: «Niech mi się szelmy spóźnią, to im karki pokręcę». Opanowywał go chwilami nastrój uroczysty i jakby

uczciwa bojaźń przed tą przyszłością, za którą brał na siebie odpowiedzialność — czuł w sobie pewną podniosłość i w tem uczuciu podniosłości poczynął mydlić brodę i namyślał się, czy na dzień tak wyjątkowy nie wartoby wyjątkowo sprowadzić fryzyera do swej nieco niesfornej czupryny. Marynia podstawiała się współcześnie we wszystkie jego wrażenia. Widział ją tak, jakby była przed nim. Myślał, że się w tej chwili także ubiera, że stoi w swoim pokoju przed lustrem, że mówi ze służącą, a dusza jej leci ku niemu i serce bije niespokojnie. Wówczas chwytalo go rozczenie i monologował: «Tylko ty się tam nie bój, moje pocziwe stworzenie, bo, dalibóg, ja ci krzywdy nie zrobię» — i widział się w przyszłości dobrym, wyrozumiałym, tak, że z pewnem wzruszeniem począł spoglądać na lakierki, stojące obok fotelu, na którym leżało ślubne ubranie. Powtarzał sobie także od czasu do czasu: «Kiedy się żenić, to się żenić!» Mówił sobie, że był głupi, wahając się, bo takiej drugiej Maryni niema na świecie; czuł, że ją kocha, a zarazem myślał, że pogoda jest niezła, ale że może i deszcz upaść, że w kościele Wizytkowskim może być chłodno, że za godzinę będzie klęczał przy Maryni, że bezpieczniej jest wziąć biały krawat wiązany, niż przypinany; że jednak ślub jest chyba najważ-

niejszym w życiu obrządkiem, że jest w tem chyba coś świętego, i że nie trzeba, u licha, głowy tracić w żadnych okolicznościach, bo za godzinę to się skończy, nazajutrz wyjadą, a potem zaczną się normalne i spokojne życie męża z żoną.

Te myśli jednak rozlatywały się chwilami jak stado wróbli, w które ktoś nagle z za płotu strzeli — i w głowie Polanieckiego robiła się próżnia. Mechanicznie wówczas przychodziły mu na usta tego rodzaju frazesy, jak na przykład: «Ósmy kwietnia, jutro środa! jutro środa! mój zegarek! jutro środa!» — Później budził się, powtarzał sobie: «Trzeba być idyotą!» — i rozproszone ptaki wracały znowu całem stadem do jego głowy i poczynaly w niej wicherzyć.

Tymczasem nadjechał Abdulski, komisant Domu «Polaniecki, Bigiel i Spółka», który, obok Bukackiego, miał być drugim družbą. Będąc z pochodzenia Tatarem i człowiekiem smagłym, chociaż przystojnym, wyglądał we fraku i białym krawacie tak pięknie, iż Polaniecki wyraził nadzieję, że zapewne także wkrótce się ożeni. Abdulski odpowiedział: «Chciałaby dusza do raju», poczem rozpoczął pantominę, mającą przedstawiać liczenie pieniędzy, i począł mówić o Bigielach. Wszystkie dzieci chciały być na ślubie i na weselu, Bigielowie zaś postanowili

wziąć tylko dwoje starszych, z czego powstały niesnaski i różnica zdań, wypowiedana ze strony pani Bigielowej za pomocą klapsów. Polaniecki, który był wielki dzieciarz, oburzył się tem nadzwyczajnie i rzekł:

— Ja Bigielom figla zrobię. Czy oni już pojechali?

— Zaraz mieli wyjeżdżać.

— To dobrze, to ja wpadnę do nich, po drodze do państwa Pławickich, zabiorę wszystkie dzieciśka i wysypię je przed panią Bigielową u mojej narzeczonej.

Abdulski wyraził przekonanie, że Polaniecki tego nie robi, ale tem bardziej utwierdził go tylko w zamiarze. Jakoż, siadłszy do karety, pojechali wprost po dzieci. Nauczycielka Bigielów, wiedząc, jakie stosunki łączą Polanieckiego z domem, nie śmiała się sprzeciwiać, tak, że w pół godziny później, Polaniecki, ku wielkiemu przerażeniu pani Bigielowej, wszedł do państwa Pławickich na czele całego stadka Bigieląt, ubranych w codzienne sukienki, z poprzekrzywianymi kołnierzami, z czuprynami po większej części w nieładzie i z minami nawpół uszczęśliwionemi, a nawpół przestraszonymi.

I podbiegłszy do Maryni, rzekł, całując jej ręce, przybrane już w białe rękawiczki:

— Chcieli dzieciska pokrzywdzić. Niech pani powie, żem dobrze zrobił!

A Marynię ujął i ucieszył naprawdę ten dowód jego dobrego serca, więc rada była dzieciom z całej duszy, a nawet rada i z tego, że zebrani goście poczytali jej przyszelego za oryginała, i że pani Bigielowa, poprawiając pośpiesznie przekrzywione kolnierzyki, powtarzała z zakłopotaniem:

— No i cóż z takim waryatem robić!

Trochę tego samego zdania był i pan Pławicki. Ale Połaniecki i Marynia zajęli się po chwili tak wyłącznie sobą, że wszystko inne znikło im z oczu. Obojgu serca były trochę niepokojnie. On spoglądał na nią z pewnem zdziwieniem. Cała w bieli, począwszy od trzewików aż do rękawiczek, z zielonym wiankiem na głowie i z długim welonem, wydała mu się inna, niż zwykle. Było w niej coś niezwykle uroczego, tak jak w zmarłej Litce. Połaniecki nie uczynił wprawdzie tego porównania, czuł jednak, że w tej chwili ta biała Marynia, jeśli nie jest mu dalszą, to więcej onieśmiela go od wczorajszej, przybranej w codzienny ubiór. Wydawała mu się przytem brzydszą, niż zazwyczaj, bo wianek ślubny wyjątkowo tylko bywa kobietom do twarzy, a w dodatku niepokój i wzruszenie zaczerwieniły jej twarz, która przy białym ko-

lorze wyglądała jeszcze czerwiejsza, niż była rzeczywiście. Ale dziwna rzecz! Ta właśnie okoliczność wzruszyła Polanieckiego. W jego sercu, z natury raczej dobrem, powstało jakieś uczucie podobne do rozczerwienia lub litości. Zrozumiał, że w tej Maryni musi teraz serce bić, jak w schwytanym ptaku, i począł ją uspokajać, począł mówić do niej tak dobrymi i uczciwymi słowami, że aż sam się dziwił, skąd mu się tyle ich bierze i jakim sposobem przychodzą mu z taką łatwością. Ale przychodziły mu one z łatwością właśnie z powodu Maryni. Tak w niej znać było, że ona oddaje mu się z biciem serca, ale zarazem z ufnością, że oddaje mu serce, duszę i całą istotę, całe życie, i to nietylko na dobre, ale na każde chwile życia — i aż do końca życia, że pod tym względem żaden cień nie powstał w umyśle Polanieckiego, a ta pewność uczyniła go w tej chwili lepszym, tkliwszym i wymowniejszym, niż bywał zwykle. W końcu trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy nietylko z miłością, ale z największą przyjaźnią i otuchą na przyszłość. Oboje odczuwali wzajemną rzetelność. Jeszcze kilka chwil — i ta przyszłość miała się rozpocząć. Ale teraz myśli obojga poczęły się wyjaśniać, i ten niepokój wewnętrzny, od którego nie byli wolni, ustępował coraz bardziej i zmieniał się, w miarę

zbliżania się obrzędu religijnego, w poważne skupienie. Myśli Polanieckiego nie rozlatywały się już jak wróble, pozostało mu tylko jakby pewne zdziwienie, że on, przy całym swym sceptycyzmie, tak odczuwa nawet religijną doniosłość mającego się spełnić aktu. W gruncie rzeczy nie był on sceptykiem. W duszy tkwiła mu nawet tęsknota za uczuciami religijnymi — i jeśli do nich nie wracał, to jedynie przez pewne odzwyczajenie się i przez duchową opieszałość. Sceptycyzm, co najwyżej, wstrząsał powierzchnię jego umysłu, tak jak wiatr marszczy powierzchnię toni, której głąb pozostaje spokojna. Odwykl również od form — ale była to rzecz przyszłości i Maryni — tymczasem jednak już ten obrząd, któremu miał się poddać, wydał mu się tak podniosłym, tak pełnym powagi i świętości, że gotów był przystąpić do niego ze schyloną głową.

Przedtem wszelako trzeba było się poddać innemu obrządkowi, który, sam w sobie również uroczysty, był Polanieckiemu dość przykry: mianowicie, trzeba było klęknąć przed panem Plawickim, którego Polaniecki uważał za durnia, przyjąć jego blogosławieństwo i wysłuchać przemówienia, do którego sposobności, wiadomo było, iż pan Plawicki nie pominie. Polaniecki jednak już poprzednio powiedział sobie: «Skoro się chcę

żenić, to muszę przejść przez wszystko, co ślub poprzedza, i to z dobrą miną, a jaką minę będzie miała w takich chwilach ta małpa, Bukacki, to mnie mało obchodzi». Wskutek tego klęknął teraz z całą gotowością koło Maryni przed panem Plawickim i wysłuchał jego błogosławieństwa, oraz przemówienia, które zresztą niedługo trwało. Pan Plawicki sam był także naprawdę wzruszony, głos mu drżał, ręce również, i zaledwie zdolał wypowiedzieć coś w rodzaju zaklęcia do Polanieckiego, by choć czasem nie bronil Maryni w przyszłości przyjść i pomodlić się na jego grobie, póki zupełnie trawą nie porośnie.

Zresztą uroczystość tej chwili znaćcił ponieważ Józio Bigiel, widząc bowiem z jednej strony lzy pana Plawickiego, a z drugiej Marynię i Polanieckiego na klęczkach, co w domu Bigielów bywało nietylko karą, ale częstokroć i wstępem do jeszcze sprężystszych środków pedagogicznych, dał wyraz swemu współczuciu i obawom za pomocą zamknięcia oczu, otworzenia ust — i uderzenia w płacz tak donośny, na jaki tylko umiał się zdobyć. Gdy przytem pozostałe rodzeństwo poszło w znacznej części za jego przykładem, i gdy wszyscy zaczęli się poruszać, chwila bowiem wyjazdu do kościoła nadeszła, porosły

trawą grób pana Pławickiego nie mógł wywołać należycie elegicznego wrażenia.

Siedząc w karecie między Abdulskim a Bukackim, Polaniecki ledwie półsłówkami odpowiadał na ich pytania; nie mieszał się do rozmowy, natomiast monologował sam z sobą. Myślał, że za parę minut stanie się to, o czem marzył całymi miesiącami i czego aż do śmierci Litki najmocniej w życiu pragnął. Tu po raz ostatni wstrząsnęło nim poczucie różnicy między tą niedawno ubiegłą przeszłością a chwilą obecną. Była jednak różnica. Dawniej dążył i pragnął, dziś tylko chciał i zgadzał się. Myśl ta przejęła go jak zamróz, przemknęło mu bowiem przez głowę, że może w nim samym brak tych podstaw, na których wolno budować. Ale był to człowiek, który umiał krótko trzymać swoje niepokoje, a w danym razie rozganiać je na cztery wiatry. Powiedział więc sobie: «Naprzód, nie czas o tem myśleć, a powtóre, że rzeczywistość nie zawsze odpowiada rojeniom, to rzecz prosta». Potem przesuwalo mu się jeszcze przez pamięć to, co powiedział Bukacki: «Nie dość wziąć, trzeba i dać» — ale pomyślał, że to jest jakieś przedzenie nitki tak cienkiej, że jej wcale nie ma, i że życie trzeba brać prościej, nie jest ono bowiem obowiązane zgadzać się z uprzednio powziętymi teoryami. Tu powtó-

rzył, co sobie często powtarzał: «Żenię się — i koniec!» Poczem objęła go rzeczywistość, a raczej chwila obecna; nie innego nie miał już w głowie, tylko Marynię, kościół i ślub.

Ona tymczasem, jadąc, prosiła po cichu Boga, żeby jej dopomógł i pozwolił uszczęśliwić męża; dla siebie prosiła także o trochę szczęścia, będąc zresztą pewna, że to jej zmarła matka wyprosi.

Potem szli oboje, prowadzeni pod rękę przez szpaler zaproszonych i ciekawych, widząc trochę jak przez mgłę: w dali świece migocące przy oltarzu, a obok twarze znajome i nieznanne. Oboje dojrzelili wyraźniej twarz pani Emilii, przybraną w biały kwef Siostry miłosierdzia, i jej oczy, zarazem uśmiechnięte i zalane łzami. Obojgu przypomniła się Litka, i przyszło im na myśl, że to ona właściwie prowadzi ich do oltarza. Po chwili klęczeli, mając przed sobą księdza, wyżej zaś płomyki świec, blaski pozłocień i święte twarze głównego obrazu. Ceremonia się rozpoczęła. Poczeli powtarzać za księdzem zwykle wyrazy przysięgi ślubnej, i Polanieckiego, trzymającego rękę Maryni, ogarnęło nagle takie wzruszenie, jakiego się nie spodziewał i jakiego nie doznał od czasu, gdy matka zaprowadziła go do pierwszej Komunii. Oto poczuł, że to nie jest tylko zwykły, prawny obrządek

na mocy którego mężczyzna zyskuje prawo do kobiety; ale że w tem związaniu rąk, w tej przysiędze, jest jakaś tajemnicza, zaświatowa moc — jest po prostu Bóg, przed którym uchyla się dusza i serce drży. O uszy obojga odbijały się teraz wśród ciszy uroczyste słowa: «Quod Deus junxit, homo non disjungat» — a Polaniecki odczuwał, że ta Marynia, którą brał, staje się jego ciałem i krwią i częścią jego duszy, i że dla niej również on ma być tem samem. Tymczasem na chórze wybuchnął chór głosów: «Veni Creator» i w kilka chwil później Polanieccy wyszli z kościoła. Po drodze przedtem objęły jeszcze Marynię ręce pani Emilii: «Niech was Bóg błogosławi!» — i gdy oni jechali do domu na weselne przyjęcie, ona poszła na cmentarz, by powiedzieć Litce nowinę, że «pan Stach» ożenił się dziś z Marynią.

XXXI.

We dwa tygodnie później, w Wenecyi, portyer hotelu Bauera oddał Polanieckiemu list ze stemplem warszawskim. Było to w chwili, gdy oboje z żoną siadali do gondoli, by pojechać do Santa Maria della Salute, gdzie tego dnia, jako

w rocznicę śmierci matki Maryni, miała się odprawić msza za jej duszę. Polaniecki, który się nic ważnego z Warszawy nie spodziewał, włożył list do kieszeni i spytał żony:

— A czy to trochę na mszę nie za wcześnie?

— Tak jest, całe pół godziny.

— To może chcesz się przejechać przedtem w stronę Rialto?

Marynia zawsze była na to gotowa. Nie będąc przedtem nigdy w życiu za granicą, żyła wprost w nieustającym upojeniu, i zdawało jej się, że wszystko, co ją otacza, jest snem. Nieraz, z nadmiaru zachwyty, rzucała się mężowi na szyję, tak jakby to on zbudował Wenecję, i jakby jemu wyłącznie należało się podziękowanie za jej piękność; nieraz także powtarzała:

— Patrzę, widzę i nie wierzę, że to prawda!

Pojechali więc ku Rialto. Ruchu było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, mało, woda jakby śpiąca, dzień cichy, przezroczysty, ale niezbyt słoneczny, jeden z takich, w których Canale Grande przy całej swej piękności ma spokój cmentarza; pałace zdają się puste i zapomniane, a w nieruchomem ich odbiciu w toni jest jakiś głęboki smutek rzeczy martwych. Patrzy się wówczas na nie w milczeniu i jakby z obawą, by słowami nie zamącić ogólnej ciszy.

Tak też patrzała Marynia. Ale Polaniecki,

mniej wrażliwy, przypomniał sobie, że ma w kieszeni list, więc go wydobyl i poczał czytać, a po chwili rzekł:

— A!... Maszko także już żonaty. Ich ślub odbył się w trzy dni po naszym.

Marynia zaś, jakby zbudzona ze snu, spytała, mrugając oczyma:

— Co mówileś?

— Mówilem, rozmarzona głowo, że ślub Maszki już się odbył.

Ona zaś wsparła głowę na jego ramieniu i, patrząc mu w oczy, odpowiedziała:

— Co mi tam Maszko!... ja mam swojego Stacha.

Polaniecki uśmiechnął się, jak człowiek, który laskawie pozwala się kochać, ale się temu nie dziwi, poczem pocałował żonę w czoło z pewną dystrakcją, gdyż list poczał go jednak zajmować, i czytał dalej. Nagle rzucił się, jakby ukłóty, i zawołał:

— O to prawdziwa katastrofa!

— Co się stało?

— Panna Krasławska ma dziesięć tysięcy rubli dożywocia, które zapisał jej wuj. Zresztą ani grosza posagu.

— Ale to i tak dużo.

— Dużo? To posłuchaj, co pisze Maszko: «Wobec tego moje bankructwo jest rzeczą speł-

nioną, a ogłoszenie niewypłacalności kwestyą czasu». Zawiedli się oboje, rozumiesz? — bo on liczył na jej majątek, a ona na jego.

— Przynajmniej mają z czego żyć.

— Mają z czego żyć, ale Maszko nie ma czem pospłacać długów, a to trochę i nas obchodzi — mnie, ciebie i twego ojca.... Wszystko może przepaść.

Teraz Marynia zaniepokoiła się na dobre.

— Mój Stachu, — rzekła — może twoja obecność tam potrzebna, to wracajmy.... Co to będzie za cios dla papy!

— Napiszę zaraz do Bigiela, by mnie zastąpił i ratował, co można.... Nie bierz przytem, dziecko, zanadto do serca tej sprawy. Ja mam na kawalek chleba dla nas obojga i dla twego ojca.

Marynia objęła ręką jego szyję.

— Mój ty dobry!.... Z takim człowiekiem, jak ty, można być spokojną.

— Przytem coś się da uratować... Jeśli Maszko znajdzie kredyt, to nas pospłaca. Może też znajdzie kupca na Krzemień. Ale! Pisz mi, żebym spytał Bukackiego, czyby nie kupił Krzemienia, i żebym go do tego namawiał. On dziś w wieczór jedzie do Rzymu, i zaprosilem go na śniadanie... Spytam go. On ma znaczny majątek — i miałby coś do roboty. Ciekawym, jak Maszkom życie

pójdzie. On mi pisze w końcu listu: «Żonie odkryłem stan moich interesów, wobec czego zachowała się biernie, ale matka nie posiadała się z oburzenia». Wreszcie dodaje, że się w ostatnich czasach w żonie pokochał, i że gdyby się rozstali, byłoby to dla niego największem w życiu nieszczęściem. Ta liryka mało mnie obchodzi — ale ciekawym jednak, jak się to wszystko skończy.

— Ona go nie opuści — rzekła Marynia.

— Nie wiem; sam nawet myślałem w swoim czasie, że nie — ale mam ochotę się sprzeczać. Chcesz pójść o zakład?

— Nie, bo nie chcę wygrać. Ty brzydki człowieku, nie znasz kobiet.

— Owszem, znam je, i dlatego wiem, że nie wszystkie są takie, jak ta mała, która płynie teraz gondolą...

A ona odpowiedziała:

— W Wenecyi, gondolą i obok swojego Stacha!

Tymczasem dojechali do kościoła. Wróciwszy po mszy do hotelu, zastali już Bukackiego, przybranego jak do drogi w kraciaste szare ubranie, które na jego wątłe ciało wydawało się za obszerne, w żółte trzewiki i fantastyczny krawat, zawiązany z równą fantazyą, jak niedbałością.

— Jadę dzisiaj — rzekł, przywitawszy się z Marynią. — Czy pani każe przygotować mieszkanie we Florencyi? Mogę nająć jaki pałac.

— To pan zatrzymuje się po drodze do Rzymu?

— Tak jest. Naprzód dlatego, żeby dać znać w Galeryi, że przyjeżdżacie, i żeby położono dywan na schodach; powtóre, dla czarnej kawy, która wogóle we Włoszech jest zła, a we Florencyi u Giacosa wyjątkowo doskonała... via Tornabuoni... To zresztą jedyna rzecz coś warta we Florencyi...

— Co pan ma za przyjemność mówić zawsze co innego, niż pan myśli...

— Owszem, myślę szczerze nająć wam jakie ładne mieszkanko na Lung-Arno.

— My się zatrzymujemy w Weronie.

— Dla Romea i Julii? Owszem, owszem! Póki jeszcze nie wzruszacie ramionami, myśląc o nich — jedźcie. Za jaki miesiąc byłoby już może za późno.

Marynia fuknęła na niego jak kotka, poczem zwróciwszy się do męża, rzekła:

— Stachu, nie pozwól temu panu tak mi dokuczać.

— Dobrze — odpowiedział Polaniecki. — Utnę mu głowę, ale po śniadaniu.

Bukacki zaś począł deklamować:

• Nie! Jeszcze nie świta!

• To nie skowronek — to jest głos słowika.

I następnie, zwróciwszy się do Maryni, spytał:

— Napisał Polaniecki dla pani jaki sonet?

— Nie.

— O, to zły znak!... Macie balkon od ulicy...

Czy nie przyszło mu do głowy ani razu stanąć pod balkonem pani z mandoliną?

— Nie.

— O, bardzo źle!...

— Przecie tu niema gdzie stanąć, bo woda.

— Mógł podjechać gondolą. Widzi pani, u nas co innego, ale tu, we Włoszech, takie już jest powietrze, że jeśli kto prawdziwie kocha, to albo pisze sonety, albo staje z mandoliną pod balkonem. To jest rzecz zupełnie pewna, wypływająca z położenia geograficznego, prądów morskich, składu chemicznego powietrza i wody — i jeśli ktoś nie pisze sonetów, ani nie staje z mandoliną, to najniezawodniej nie kocha. Mogę pani przytoczyć bardzo znakomite dzieła, traktujące o tym przedmiocie.

— Zdaje się, że będę zmuszony uciąć mu głowę przed śniadaniem — rzekł Polaniecki.

Do egzekucyi jednak nie przyszło z tego powodu, że właśnie pora była na śniadanie. Siedzieli przy osobnym stole, ale w tej samej sali, w której był stół ogólny, co dla Maryni, którą

wszystko zajmowało, było także źródłem rozkoszy, widziała bowiem *prawdziwych* Anglików. Czyniło jej to wrażenie, że zajęchała gdzieś, do krajów tak już egzotycznych, że jak Krzemień Krzemieniem, żaden z jego mieszkańców nie zapuścił się w taką drogę. Dla Bukackiego, a nawet i dla Polanieckiego, to jej upojenie było powodem nieustających żartów, ale też i prawdziwej przyjemności. Pierwszy mówił, że przypomina mu to jego młodość, drugi nazywał żonę polną stokrotką — i mówił, że takiej nie żał świata pokazywać.

Sam Bukacki zauważył jednak, że «polna stokrotka» miała dużo poczucia sztuki i dużo szczerości. Wiele rzeczy było jej wiadomych z książek lub rycin; nie umiając się na niektórych poznać, przyznawała się do tego otwarcie, ale nie było w jej wrażeniach nic sztucznego, ani nic wmówionego. Gdy jej co przypadło do serca, zachwyt jej nie miał natomiast granic, tak, że oczy jej stawały się wilgotne. Bukacki czasem żartował z niej bez miłosierdzia, czasem wmawiał w nią, że wszyscy tak zwani znawcy mają gwoździe w głowie, i że ona, jako natura wrażliwa i wykwintna, a dotychczas niezbalamucona, jest dla niego największą w rzeczach sztuki powagą, byłaby zaś jeszcze większą, gdyby miała lat dziesięć.

Przy śniadaniu nie było jednak mowy o sztuce, albowiem Polaniecki przypomniał sobie nowiny warszawskie i rzekł:

— Miałem list od Maszki.

— I ja — odpowiedział Bukacki.

— I ty? To jednak tam naprawdę pilno. Maszko musi być przyciśnięty nie żartem. Wiadomo ci tedy, o co chodzi.

— Namawia, a raczej zaklina mnie, żebym kupił — wiesz co?

Bukacki umyślnie nie wymienił Krzemienia, wiedząc doskonale, jakiej rozterki był on powodem między Polanieckim a Marynią, i przez delikatność dla Maryni.

Lecz Polaniecki, zrozumiawszy jego intencję, ozwał się:

— Ach Boże! Niegdyś unikaliśmy tego wyrazu, jak dotknięcia bolączki, ale teraz — przyżonie — to przecie co innego... Trudno się całę życie krępować.

Bukacki spojrzał na niego bystro, Marynia zaś zarumieniała się i rzekła:

— Staś ma zupełną słuszność. Zresztą wiem, że chodzi o Krzemień.

— A tak, chodzi o Krzemień.

— No i cóż? — spytał Polaniecki.

— Nie kupiłbym go, choćby dla tego samego,

żeby pani nie miała wrażenia, że tak nim ludzie rzucają jak piłką.

Marynia zarumienila się jeszcze więcej i rzekła:

— Kiedy ja już wcale nie myślę o Krzemieniu.

I spojrzała na męża, on zaś kiwnął na znak zadowolenia i pochwały.

— To dowód, — odpowiedział — że jesteś rozsądne dziecko.

— Przyczem — mówiła dalej Marynia — jeśli pan Maszko się nie utrzyma, to Krzemień albo się rozpadnie, albo pójdzie w lichwiarskie ręce, a to jednak byłoby mi przykro...

— Aha! — rzekł Bukacki — skoro jednak pani *wcale* nie myśli już o Krzemieniu?

Marynia spojrzała znów na męża i tym razem już z niepokojem, on zaś począł się śmiać.

— Złapała się Marynia — rzekł.

Poczem zwrócił się do Bukackiego:

— Widocznie Maszko widzi w tobie jedyną deskę ratunku.

— Ale ja nie jestem deska... patrz na mnie... raczej słomka. Kto się zechce ratować przez schwytywanie takiej słomki, zginie, utonie... Zresztą sam Maszko nieraz mi mówił: «Masz przytępione nerwy». Może i mam! Ale właśnie dlatego potrzebuję silnych wrażeń.... Gdybym Maszce

pomógł, wygrzebałby się, stanąłby na nogach, udawałby dalej lorda, żona jego udawałaby wielką panią, byliby okropnie «comme il faut...» — i miałbym nudną komedję, którą już widziałem i na której ziewałem. Przeciwnie, jeśli mu nie pomogę, zrujnuje się, zginie, zdarzą się jakieś zajmujące a niespodziewane wypadki, zdarzyć się może coś tragicznego, co mnie więcej zajmie. Teraz pomyślcie państwo: za lichą komedję musiałbym zapłacić, i to drogo — tragedję mogę mieć darmo. Jak tu się wahać?

— Fe! jak pan może mówić takie rzeczy! — zawołała Marynia.

— Nietylko mogę mówić, ale je napiszę Maszce. Przytem on mnie zawiódł w najniegodziwszy sposób.

— W czym?

— W czym? W tem, że ja myślałem: oto prawdziwy snob! to materyał na czarny charakter! to człowiek naprawdę bez skrupułu i serca! Tymczasem cóż się pokazuje: że on na dnie duszy ma jakąś uczciwość, że chciałby pospłacać wierzycieli, że mu tej lalki z czerwonymi oczyma żał, że ją kocha, że rozłączenie z nią byłoby dla niego straszną klęską... Sam mi to pisze najbezczelniej... Słowo daję, że w tem społeczeństwie na nic liczyć nie można!... Przesiaduję za granicą, bo tego znieść nie mogę.

Tym razem pani Polaniecka rozgniewała się na dobre:

— Jak pan będzie takie rzeczy mówił, to poproszę Stasia, żeby zerwał z panem stosunki.

A Polaniecki wzruszył ramionami i dodał:

— Że też ty naprawdę zagadujesz dla konceptu siebie i drugich, a nigdy nie myślisz rozsądnie i po ludzku. Rozumiesz, że ja cię namawiam do kupna Krzemienia, a to tembardziej, że mógłbym w tem mieć pewien interes, ale jednak — miałbyś jakieś zajęcie, miałbyś coś do roboty...

Na to Bukacki począł się śmiać, po chwili zaś odrzekł:

— Ja ci już niegdyś powiedziałem, że przede wszystkim lubię robić to, co mi się podoba, a że mi się najwięcej podoba nie robić, więc nie robiąc, robię to, co mi się najwięcej podoba. Jeśliś mądry, dowiedz mi, że powiedziałem głupstwo. Powtóre: ja — hreczkosiejem!... To przecie wprost przechodzi imaginacyę! Ja, dla którego deszcz i pogoda jest tylko kwestyą wzięcia laski lub parasola, miałbym na stare lata wystawać na jednej nodze, jak żóraw, i patrzeć, czy się podoba słońcu świecić, czy chmurom kropić? Jabym miał palpitować, czy mi pszenica nie porośnie, czy mi się rzepak nie wysypie, czy zaraza nie padnie na kartofle, czy się uwinę

z grochem, czy potrafię dostawić Ickowi do Psiej Wólki tyle korcy, na ile zawarłem kontrakt, czy mi fornalki nie dostaną nosacizny, a owce motylic? Ja miałbym na starość dojść do tego, żeby z powodu stępienia umysłowego mówić co trzy słowa: «Panie Dobrodzieju» albo: «Co to ja chciałem powiedzieć?» Voyons! pas si bête! Ja, człowiek wolny, miałbym zostać glebae adscriptus? — mościpanem, somsiadem, bratem Łatą, panem Maciejem, Lechitą?

Tu, podniecony nieco winem, począł cytować półgłosem słowa Ślaza z «Lilli Wenedy»:

Czy ja Lechita? Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

— Gadajże tu z nim! — rzekł Polaniecki; —
tembardziej, że w gruncie rzeczy ma trochę
słuszności!

Ale Marynia, która od chwili, gdy Bukacki zaczął mówić o kłopotach wiejskich, zamyśliła się nieco, teraz strząsnęła z czoła zamyślenie i rzekła:

— Ja, gdy papa był niezdrów (a nigdy w Krzemieniu nie był tak zdrów, jak w ostatnich czasach), wyręczałam go trochę w gospodarstwie — i później weszło mi to w zwyczaj.

Chociaż, Bóg widzi, że kłopotów nie brakło, robiło mi to taką przyjemność, że nie umiem tego wypowiedzieć. Ale nie rozumiałam, dlaczego to tak jest, i zrozumiałam dopiero, gdy mi to wytłómaczył pan Jamisz. On mi mówił, że to jest ta istotna praca, na której świat stoi, a wszelka inna jest albo dalszym jej wynikiem, albo czemś sztucznem... Później też zrozumiałam nawet takie rzeczy, o których on nie wspominał. Nieraz, jak na wiosnę wyszłam w pole i widziałam, że wszystko rośnie, to czułam, że i serce przytem rośnie. I wiem teraz dlaczego: bo w każdych innych stosunkach ludzkich, może być kłamstwo, a ziemia — to prawda... Ziemi nie można oszukać, ale i ona: da albo nie da, ale nie oszuka... Dlatego ziemię kocha się tak, jak prawdę — a że się ją kocha, więc i ona uczy kochać... I rosa pada nietylko na zboża, nietylko na łąki, ale jakby i na duszę, i człowiek staje się lepszym, bo jak ma do czynienia z prawdą i kocha, to jest bliżej Boga... Dlatego ja tak kochałam mój Krzemień.

Tu pani Polaniecka przestraszyła się i swojej wymowy, i tego, co tam pomyśli «Staś» — a jednocześnie wzruszyły ją wspomnienia; wszystko to zaś odbiło się jakby zorzą w jej oczach, na jej młodej twarzy — i sama była jak zorza.

Bukacki patrzył na nią, jakby patrzył na

jakieś nieznane, świeżo odkryte arcydzieło szkoły weneckiej, następnie przymknął oczy, pochował do połowy swą małą twarzyczkę w ogromny fantastyczny krawat i szeptał:

— *Délicieuse!*...

Poczem, wysunawszy brodę z krawata, rzekł:

— Pani ma najzupełniejszą słusność...

Ale logiczna kobietka nie pozwoliła się pozbyć komplementem.

— Jeśli ja mam słusność, to pan jej nie ma.

— To inna rzecz. Pani ma słusność dlatego, że jej z tem do twarzy, a kobieta zawsze wówczas ma słusność.

— Stasiu! — rzekła Marynia, zwracając się do męża.

Lecz tyle było w niej w tej chwili uroku, że on patrzył na nią również z zachwytem, oczy mu się śmiały, nozdrza poruszały się szybkim ruchem, na chwilę nakrył jej rękę dłonią i rzekł:

— Oj, dziecko! dziecko!

A potem, pochyliwszy się ku niej, szepnął:

— Gdyby nie to, że jesteśmy w sali, tobym zacałował te oczy kochane i te usta.

I mówiąc tak, Polaniecki popelniał wielką omyłkę, w tej chwili bowiem nie dość było odczuć fizyczne ponęty Maryni, zapłonąć do kolorów na jej twarzy, do oczu lub ust, ale na-

leżało zrozumieć i odczuć w niej duszę; jak zaś dalece on jej nie odczuł, dowodziły najlepiej jego pobłażliwe słowa: «Oj, dziecko! dziecko!» Była mu w tej chwili tylko uroczem dzieckiem-kobietą — i o niczem innem nie myślał.

Tymczasem przyniesiono kawę. Na zakończenie rozmowy Polaniecki rzekł:

— Tak tedy Maszko wyszedł na liryka — i to po ślubie.

Bukacki zaś, polknąwszy filiżankę wrzątku, odpowiedział:

— W tem głupstwo, że to Maszko, ale nie w tem, że po ślubie... Trochę liryzmu, właśnie po ślubie... Ale przepraszam! Tylko com nie powiedział czegoś rozsądnego... Przepraszam panią najmocniej i przyrzekam, że więcej nie będę!... Sparzyłem się widocznie w język gorącą kawą, ale piję tak gorącą dlatego, że mi powiedziano, iż to dobrze na ból głowy, a mnie głowa boli, boli...

Tu Bukacki położył dłoń na karku i potylicy, przyczem zamrużył oczy i przez kilka sekund pozostał bez ruchu, poczem rzekł:

— Gada się i gada, a głowa boli. Poszedłbym już sobie, ale ma tu przyjść do mnie malarz Świrski, z którym jadę razem do Florencyi, znakomity akwarelista, prawdziwie znako-

mity... Nikt nie wydobył z akwareli większej sily. Ale oto właśnie nadchodzi.

I istotnie Świrski, jakby wywołany zaklęciem, zjawił się w tej chwili i poczał się rozglądać, upatrując Bukackiego. Dostrzegłszy go wreszcie, zbliżył się do stołu.

Był to krępy, niski człowiek, o grubym karku, potężnej piersi, cerze nadzwyczaj smagłej i czuprynie tak czarnej, jakby był Włochem. Twarz miał pospolitą, ale spojrzenie rozumne i głębokie, a przytem łagodne. Idąc, kiwał się nieco na obie strony z powodu szerokości bioder.

Bukacki przedstawił go w następnych słowach pani Polanieckiej:

— Przedstawiam pani pana Świrskiego, malarza, rodzaj geniusza, który nietylko ma talent, ale miał najnieszcześniejszą ideę niezmarnowania go, co mógł zrobić tak dobrze i z równym dla ludzi pożytkiem, jak każdy inny... Ale on woli zapelniać świat akwarelami i rozglosem.

Świrski uśmiechnął się, ukazując dwa szeregi dziwnie drobnych, ale zdrowych i białych jak kość sloniowa zębów, i rzekł:

— Chciałbym, żeby to była prawda.

— I powiem państwu, dlaczego on nie zmarnował talentu — ciągnął dalej Bukacki: — oto z powodów tak parafialnych, że porządnemu

artyście wstydyby było do czegoś podobnego się przyznać: kocha Pognębin — gdzieś koło Poznania — czy tak? a kocha dlatego, że się tam urodził. Gdyby się urodził na Gwadelupie, toby kochał Gwadelupę — i miłość do Gwadelupy byłaby go także ratowała w życiu. Ten człowiek oburza mnie — i niech pani powie, czy nie słusznie?

Na to Marynia rzekła, podnosząc swoje błękitne oczy na Świrskiego:

— Pan Bukacki nie jest taki niegodziwy, jak się wydaje, bo jednak powiedział o panu wszystko, co można było najlepszego.

— Umrę zapoznany — szepnął Bukacki.

A Świrski patrzył tymczasem na Marynię tak, jak sobie może pozwolić bez obrażania kobiety tylko malarz. W oczach jego malowało się widoczne zajęcie; w końcu mruknął:

— Tu w Wenecyi zobaczyć niespodzianie taką głowę — to przecie coś bajecznego!

— Co takiego? — spytał Bukacki.

— Mówię, że pani ma ogromnie swojski typ: o to, o! naprzykład (tu pociągnął sobie wielkim palcem przez nos, usta i brodę). I jaka przytem czystość linii!

— Co? nie prawda? — rzekł z zapalem Polaniecki: — zawsze to samo myślałem!

— Złożę się, żeś tego nigdy nie myślał — odparł Bukacki.

Lecz Polaniecki rad był i dumny z tego zajęcia, jakie w słynnym artyście wzbudziła Marynia, więc rzekł:

— Gdyby tak panu zrobiło jakąkolwiek przyjemność malowanie jej portretu, mnieby zrobiło jeszcze większą przyjemność mieć go.

— Z duszy serca, — odpowiedział z prostotą Świrski — ale ja jadę dziś do Rzymu. Tam mam też zaczęty portret pani Osnowskiej.

— I my właśnie, najdalej za dziesięć dni, będziemy w Rzymie.

— A więc zgoda!

Marynia dziękowała, czerwieniąc się po uszy. Lecz Bukacki począł się żegnać i pociągnął za sobą Świrskiego. Wyszedszy, rzekł mu:

— Mamy jeszcze czas. Chodź do Florianiego na kieliszek koniaku.

Bukacki nie umiał i nie lubił pić, ale od czasu, gdy się morfinizował, czynił to w wyższym stopniu, niż mógł znieść, albowiem ktoś mu powiedział, że to jedno drugie zobojętnia.

— Co za miła para ci Polanieccy! — rzekł Świrski.

— Niedawno się pobrali.

— I widać, że on ją ogromnie kocha. Jakem

ją pochwalił, aż mu się oczy śmiały, i rósł jak na drożdżach.

— Ona jego sto razy więcej kocha.

— Skąd ty się na tych rzeczach znasz?

Bukacki nie odpowiedział, tylko podniósłszy swój spiczasty nos do góry, mówił jakby do siebie:

— To mi brzydziło małżeństwo i miłość, że to zawsze z jednej strony wyzysk, z drugiej ofiara. Taki Polaniecki — dobry człowiek, ale cóż? Ona ma tyle samo rozumu, tyle samo charakteru — tylko więcej kocha, więc im się życie ułoży tak: że on będzie słońcem, będzie łaskawie świecił, łaskawie grzał, uważał ją za swoją własność, za planetkę, która się powinna kolo niego kręcić. To się już wszystko dziś zaznacza... Ona już weszła w jego sferę. Jest w nim jakaś pewność siebie, która mnie gniewa. On będzie miał ją — i resztę, ona tylko jego — bez reszty. On się będzie pozwalał kochać, uważając ze swojej strony kochanie jako swoją cnotę, dobroć i łaskę, ona będzie kochała, uważając swoją miłość za szczęście i obowiązek... Patrzcie mi go, bożka promienistego!... Mam ochotę wrócić i powiedzieć im to, w nadziei, że staną się mniej szczęśliwi.

Ale tymczasem siedli przed Florianim, i po chwili podano im koniak. Świrski myślał czas jakiś o Polanieckich, poczem spytał:

— No! a jeśli jej będzie z tem dobrze?

— Wiem, że ma krótki wzrok, więc mogłoby jej być równie dobrze nosić okulary.

— Idźże do licha! do takiej twarzy!...

— Więc ciebie to oburza, a mnie tamto.

— Bo ty masz w głowie jakiś młynek od kawy, który wszystko miele i miele, póki nie zmiele na drobny pył. Czego ty wogóle chcesz od miłości?

— Ja, od miłości? Ja nie nie chcę od miłości! Niech tego dyabel weźmie, kto czegoś chce od miłości! Ja mam od niej strzykanie w łopatkach. Ale gdybym był inny, niż jestem, gdybym miał określić, czem miłość być powinna, gdybym od niej czegoś chciał, tobym chciał...

— Czego? Hop! przeskocz!

— Żeby się składała w równej ilości: z żądzą i czci!

Poczem wypił kieliszek koniaku i po chwili dodał:

— Zdaje się, że powiedziałem coś, co może być mądre, jeśli nie jest głupie... Ale mi to wszystko jedno!...

— Nie! to nie jest głupie.

— Dalibóg, to wszystko jedno!

XXXII.

Po tygodniowym pobycie we Florencyi, odebrał Polaniecki pierwszy list od Bigiela w sprawach Domu, a w nim wiadomości tak pomyślne, że przechodzące niemal oczekiwanie. Prawo wzbraniające wywozu zboża z powodu głodu zostało ogłoszone. Ale Spółka miała ogromne zapasy zakupione i wywiezione poprzednio, że zaś ceny w pierwszych zwłaszcza chwilach podskoczyły za granicą nadzwyczajnie — więc Bigiel i Polaniecki poczęli robić doskonale interesa. Spekulacya, pomyślana i przeprowadzona na wielką skalę, okazała się tak korzystną, iż z ludzi zamożnych, jakimi byli poprzednio, stawali się niemal bogatymi. Polaniecki zresztą oddawna był pewien swego i nie żywił żadnych obaw; wiadomość jednakże ucieszyła go zarówno ze względów finansowych, jak i ze względu na miłość własną. Powodzenie upaja i wzmaga ufność do siebie samego. To też w rozmowie z żoną niezupełnie potrafił się wstrzymać od tego, by jej nie dać do zrozumienia, że jest niepospolitą głową, wyższą bezwarunkowo od całego otoczenia, jakby drzewem najbardziej wybijającym w lesie, człowiekiem, który dochodzi zawsze tam, dokąd zamierzył, słowem: rodza-jem Feniksa we własnem społeczeństwie, obfitu-

jącem w ludzi, którzy nie mogą sobie dać rady na świecie. Na świecie też całym nie mógł być znaleźć wdzięczniejszego i gotowego przyjąć wszystko z głębszą wiarą słuchacza.

— Ty jesteś kobieta, — mówił jej nie bez pewnego odcienia wyższości — więc coś ci mam tam opowiadać sprawę od początku i wdawać się w szczegóły. Jako kobiecie, najlepiej wszystko wyjaśnię, gdy ci powiem tak: tego medalionu z czarną perłą, który ci pokazywałem u Godoniego, wczoraj nie byłem w stanie kupić — dziś jestem — i kupię.

Marynia poczęła mu dziękować i prosić, żeby tego nie czynił, ale on uściskał ją, zapowiedział, że nic go nie wstrzyma, że to rzecz postanowiona, i że «Maryś» ma się uważać za właścicielkę czarnej wielkiej perły, która na takiej białej szyjce będzie ślicznie wyglądała. Potem ją całował tę szyjkę, a gdy się wreszcie nasycił, czując jednak potrzebę jakiegokolwiek słuchacza, począł chodzić po pokoju, uśmiechać się do żony, do samego siebie i mówić:

— Nie wspominam już o takich, którzy nie robią: Bukacki na przykład, wiadomo, że do niczego... Nie mówię o osłach — taki Kopowski, wiadomo, że kocia głowa; ale weźmy nawet ludzi, którzy coś robią i którzy niby mają rozum: taki Bigiel nigdyby sposobności w lot nie po-

chwycił, zacząłby namyślać się, ociągać, dziśby się decydował, jutroby się bał — i poraby przeszła. A tu o co chodzi? Naprzód, żeby mieć głowę, a powtóre, żeby się i porachować. I jak działać, to działać!... Trzeba mieć przytem trzeźwość i nie pozować. Maszko niby nie głupi, a patrz co wymądrkował!... Ja tam nie chodziłem i nie pójde jego śladem.

Tak mówiąc, chodził dalej i potrząsał swoją obfitą czarną czupryną, a Marynia, któraby w każdym razie słuchała z wiarą jego słów, przyjmowała je teraz jako niezbity pewnik, tembardziej, że miały one podstawę w istotnem powodzeniu.

On zaś zatrzymał się wreszcie przed nią i rzekł:

— Wiesz, co ja myślę? — że trzeźwość to rozum. Można mieć inteligentną głowę, to jest i wsiakającą wiedzę jak gąbka, i wrażliwą, a nie mieć przytem swego własnego trzeźwego rozumu. Dowodem dla mnie Bukacki. Nie bierz mnie za zarozumialca, ale gdybym ja naprzykład wiedział tyle o sztuce, ile on, tobym miał o niej lepszy sąd. On się tyle naczytał i tyle pochwytał opinii, że wreszcie nie ma żadnej. Doprawdy, ja z tego materyalu, który on nagromadził, cośbym jednak własnego wycisnął.

— O to — odpowiedziała Marynia — z największą pewnością!

Polaniecki mógł mieć pod pewnym względem słuszość. Nie był on wcale człowiekiem głupim, i może być, że jego inteligencya była bardziej zwartą i tęższą od inteligencyi Bukackiego; ale natomiast była i mniej giętą i mniej obszerną — to zaś nie przyszło mu na myśl. Nie pomyślał również, że w tej chwili, pod wpływem chelpliwości, mówi przed Marynią rzeczy, od których wypowiedzenia wobec obcych, bardziej sceptycznych ludzi, wstrzymalaby go obawa śmieszności i krytyki. Ale on już z Marynią nie krępował się. Sądził, że jeśli wobec kogo mógł sobie na taką chelpliwość pozwolić, to wobec żony. Przecie, jak sam się wyrażał: «wziął ją, i skończyło się» — przecie ona była jego.

Wogóle nie czuł się nigdy tak szczęśliwy i tak zadowolony z życia, jak teraz. Doznał powodzenia materyalnego i przyszłość uważał za zabezpieczoną. Wziął kobietę młodą, ponętą dla siebie i rozumną, dla której został dogmatem, co i nie mogło być inaczej, gdy usta jej po całych dniach nie osychały od jego pocałunków, a zdrowe i uczciwe serce było przepełnione wdzięcznością za kochanie. Czego mu mogło braknąć, czego mógł jeszcze pożądać?

Był przytem zadowolony z siebie, bo przypisywał w znacznej części swemu rozumowi i swojej zasłudze to, że tak potrafił urządzić sobie życie, iż zapowiadało się i pomyślnie i spokojnie. Widział, że innym jest źle, jemu dobrze — i tłómaczył tę różnicę na własną korzyść. Niegdyś myślał, że człowiek, chcąc być spokojnym, potrzebuje uregulować swój stosunek do siebie samego, do ludzi, do Boga. Dwa pierwsze uważał za uregulowane. Miał żonę, pracę i przyszłość; więc dał i zapewnił sobie to, co mógł dać i zapewnić. Co do ogółu, pozwalał sobie na jego krytykę, czasem na wymyślanie, ale czuł, że go na dnie duszy kocha rzeczywiście, że nawet, choćby chciał, nie potrafiłby inaczej, że gdyby w danym razie trzeba było pójść w wodę lub ogień — toby poszedł, więc uważał, że i z tej strony wszystko jest załatwione. Pozostał stosunek do Boga. Czuł, że gdyby i ten stał się jasnym i pewnym, mógłby wszystkie zadania życia uważać za załatwione, a w końcu powiedzieć sobie: «Wiem, dlaczego żyłem, czego chciałem i dlaczego muszę umrzeć». Nie będąc uczonym, zetknął się jednak o tyle z nauką, iż wiedział, że wyjaśnień i odpowiedzi niema co szukać w tak zwanej filozofii, raczej we własnem widzeniu rzeczy, a przedewszystkiem w uczuciu, o ile jedno i drugie jest proste, ina-

czej bowiem prowadzi do dziwactw. Tymczasem, ponieważ nie był pozbawiony zupełnie wyobraźni, widział przed sobą jakby obraz uczciwego i zrównoważonego człowieka, który jest dobrym mężem, dobrym ojcem, pracuje a modli się, w święta prowadzi dzieci do kościoła i żyje życiem ogromnie pod względem moralnym zdrowem. Obraz taki uśmiechał mu się, a w życiu tyle się robi dla obrazów! Myślał również, że ogół, któryby posiadał wielką liczbę takich obywateli, byłby cięższym i zdrowszym od społeczeństwa, które u dołu składa się z ciemnych głów, a u góry z mędrków, dyletantów, dekadentów i wszelkich tego rodzaju zakazanych figur ze zwichniętym mózgiem. Niegdyś, wkrótce po poznaniu Maryni, zapowiadał sobie i Bigielowi, że jak skończy z własną osobą i z ludźmi, to się zabierze tego i do tego trzeciego stosunku. Otóż czas nadszedł, lub przynajmniej nadchodził. Polaniecki rozumiał, że do tego potrzebny jest większy spokój, niż ów, jaki daje podróż poślubna, wrażenia nowego życia, nowego kraju i ta krętanina między hotelami a galeriami, w jakiej z Marynią żyli. Ale, pomimo tych warunków, w rzadkich chwilach, w których zostawał z własnymi myślami — zwracał je natychmiast do tego głównego dziś dla siebie zadania. Ulegał przytem rozmaitym wpływom, które, same

przez się drobne, wywierały jednak pewne działanie, choćby dlatego, że im się już umyślnie nie opierał. Takim był wpływ Maryni. Połaniecki nie zdawał sobie z niego sprawy i nie byłby go przyznał, a jednak ciągle obecność przy nim tej duszy pogodnej, szczerze i bardzo po prostu religijnej, bardzo obowiązkowej w stosunku do Boga, dawała mu mimowolnie poczucie spokoju i pogody, jakie w wierze znaleźć można. Ilekroć też prowadził żonę do kościoła, przypominał sobie te słowa, które mu powiedziała w Warszawie: «Jakże? to służba boża!» I wciągał się w nią, chodził bowiem zawsze z żoną do kościoła, z początku dlatego, by jej nie puszczać samej, a później i dlatego jeszcze, że sprawiało mu to pewne wewnętrzne zadowolenie, jakie na przykład uczonemu może sprawić przypatrywanie się objawom, które go szczególnie zajmują. W ten sposób, mimo nieodpowiednich warunków, mimo podróży i roztarganego wszelkiego rodzaju wrażeniami umysłu, szedł ciągle naprzód po nowej drodze. Myśli jego w tym kierunku miały chwilami wielką energię i stanowczość: «Ostatecznie, — mówił sobie — ja Boga czuję! Czulem go u grobu Litki, czulem, chociażem nie przyznawał w słowach Waskowskiego o śmierci, czulem go u nas na równinach, i tu w górach nad śniegami,

a tylko pytam jeszcze: jak go mam sławić, czcić i kochać? Czy tak, jak się spodoba mnie osobiście, czy tak, jak to czyni moja żona i jak mnie uczyła moja matka?»

W Rzymie jednak przestał z początku o tych rzeczach myśleć. Tyle wrażeń zewnętrznych gromadziło się naraz w jego umyśle, że na żadne refleksye nie było miejsca. Przytem przychodzili wieczorem z Marynią tak zmęczeni, że prawie ze strachem przypominali sobie słowa Bukackiego, który czasem służąc im dla własnego zadowolenia za «cicerone», mawiał im za każdym razem: «Nie widzieliście tysiącznej części tego, co widzieć warto, ale to wszystko jedno, bo wogóle nie warto i tu przyjeżdżać — tak samo jak nie warto siedzieć w domu».

Bukacki był teraz w okresie przeczenia w każdym następnem zdaniu temu, co zdawał się twierdzić w poprzednim.

Profesor Waskowski przyjechał też na powitanie z Perugii, co Marynię tak ucieszyło, iż przywitała go, jakby był jej najbliższym krewnym. Ale po uspokojeniu się pierwszych wybuchów radości, zauważyła jakby jakiś smutek w oczach profesora.

— Co panu jest? — pytała — czy panu niedobrze we Włoszech?

— Moje dziecko, — odpowiedział profesor —

i w Perugii dobrze, i w Rzymie dobrze... Ach! jak dobrze! Wiedz o tem, że tu, chodząc po ulicach, depcesz pył świata... To, jak zawsze powtarzam, przedsiónek do innego życia — tylko...

— Tylko co?

— Tylko ludzie... widzicie... to nie ze złego serca — bo tu, jak i wszędzie, więcej dobrych, niż złych — ale mi czasem smutno, że jak u nas, tak i tu, mają mnie trochę za waryata.

Bukacki, który słyszał rozmowę, rzekł:

— Więc nie ma profesor większego powodu do smutku tu, niż u nas?

— Tak, — odpowiedział Waskowski — tylko że tam mam blizkich, jak wy, którzy mnie kochają, a tu nie... I przytem tęsknię.

Poczem zwrócił się do Polanieckiego:

— Dzienniki tutejsze pomieszczały sprawozdania z mojej rozprawy. Niektóre zupełnie szydzą — Bóg z nimi! Niektóre godzą się, że nowa epoka powinna się rozpocząć przez wprowadzenie Chrystusa i jego ducha do dziejów. Jeden przyznał, że pojedynczy ludzie żyją z sobą po chrześcijańsku, a narody jeszcze po pogańsku — nazwał nawet tę uwagę wielką, ale i ten, i wszystkie inne, gdy przechodzą do tego, co twierdzą, iż to jest misya, którą Bóg przeznaczył nam i innym najmłodszym z Aryów —

biorą się za boki od śmiechu... A to mnie boli... Dają też do zrozumienia, że ja mam trochę tu...

I biedny Waskowski począł stukać palcem w czoło.

Po chwili jednak podniósł głowę i rzekł:

— Człowiek rzuca ziarno w smutku i nie-raz w zwątpieniu, ale ziarno pada na rolę i da Bóg, że wejdzie.

Potem jął wypytywać o panią Emilię, w końcu zaś zwrócił ku nim swoje jakby rozbudzone ze snu oczy i spytał naiwnie:

— A dobrze wam z sobą?

Marynia, zamiast odpowiedzieć, poskoczyła do męża i, przytuliwszy mu głowę do ramienia, rzekła:

— O, widzi profesor! — ot, tak nam z sobą! tak!...

A Polaniecki począł gładzić ręką jej ciemną główkę.

XXXIII.

Po tygodniu zawiózł Polaniecki żonę na via Margutta do Świrskiego, z którym poprzednio widywali się niemal codzień, z którym się zżyli, polubili, i który miał rozpocząć teraz jej portret. Zastali tam państwa Osnowskich i zrobili z nimi

znajomość, tem łatwiej, że panie te były niegdys, przed kilku laty, razem na jakimś wieczorze, a Polaniecki był nawet w swoim czasie przedstawiony w Ostendzie pani Osnowskiej, potrzebował się więc teraz tylko przypomnieć. Nie pamiętał wprawdzie Polaniecki, czy w owej epoce, w której po zobaczeniu każdej młodej i przystojnej kobiety, pytał się siebie: «Czyby nie ta?» — zadawał sobie takie pytania i co do dzisiejszej pani Osnowskiej — mogło to jednak być, miała bowiem wówczas opinię ładnej, chociaż nieco narwanej panny. Dziś była to kobieta lat dwudziestu sześciu lub ośmiu, bardzo wysoka, o świeżej lubo smagłej cerze, wiśniowych ustach, rozwianej grzywce i nieco skośnych fiołkowych oczach, które nadawały jej twarzy podobieństwo do twarzy chińskich, a zarazem wyraz pewnej złośliwości i sprytu. Miała dziwny zwyczaj trzymania się, polegający na zasuwaniu w tył ramion, a wysuwaniu naprzód figury, wskutek czego Bukacki mówił o niej, że nosi biust «en offrande». W jednej niemal chwili powiedziała Maryni, iż ponieważ pozują w jednej pracowni, więc się powinny uważać za koleżanki; Polanieckiemu, że go sobie przypomina z balu w Ostendzie, jako dobrego tancerza i dobrego «causeur», i że z tego nie omieszka i teraz korzystać; obojgu, iż jej

bardzo przyjemnie, że się upaja Rzymem, że czyta «Cosmopolis», że jest zakochana w willi Doria, w widoku z Pineio, że ma nadzieję, iż razem zobaczą katakumby, i że zna dzieła Rossiego w przekładzie Allarda. Poczem uściskawszy rękę Świrskiemu i uśmiechnawszy się z kokieteryą do Polanieckiego, wyszła, oświadczając, że ustępuje miejsca godniejszej od siebie, i zostawiając wrażenie zawieruchy, Chinki i kwiatu. Pan Osnowski, człowiek bardzo młody, z nie nie znaczącą, ale dobrą twarzą jasnego blondyna, wyszedł za nią, nie zdolawszy prawie przemówić słowa.

Świrski odetchnął głęboko.

— O to burza! — rzekł. — Mam z nią tysiąc trudności, by ją utrzymać dwie minuty w spokoju.

— A jaka interesująca twarz! — rzekła Marynia. — Czy wolno przyjrzeć się portretowi?

— Już mu niewiele brak, więc wolno — odrzekł Świrski.

Marynia i Polaniecki zbliżyli się do papieru i mogli, bez potrzeby sadzenia się na grzeczności, wyrazić swój podziw Świrskiemu. Ta głowa, malowana akwarelą, miała siłę i ciepło olejnego obrazu, a zarazem była w niej cała istota duchowa pani Osnowskiej. Świrski słuchał spokojnie pochwał, i znać było, że sam jest rad

z własnej roboty. Następnie zakrył go i, odniósłszy w ciemny kąt pracowni, usadził Marynię na przygotowanem krześle i począł się w nią wpatrywać.

Ją mieszał cokolwiek ów uparty wzrok, i policzki jej poczęły się rumienić, ale Świrski uśmiechał się z zadowoleniem, mrużąc:

— Tak! to inny typ... ziemia i niebo!

Chwilami przymykał jedno oko, co Marynię jeszcze bardziej mieszało, chwilami zbliżał się do papieru, to znów odstępował, znów się w nią wpatrywał, i znów mówił, jakby sam do siebie:

— Tam trzeba było wydobyć dyabła, a tu kobiecość.

Na to Polaniecki rzekł:

— Skoro pan to tak od razu spostrzegł, to już jestem pewny arcydziela.

Świrski przestał nagle spoglądać na papier i na Marynię — i zwróciwszy się ku Polanieckiemu, uśmiechnął się wesolo, ukazując swoje zdrowe zęby.

— Co, panie! kobiecość — i swojska kobiecość, to główny charakter pani twarzy.

— I chwyci go pan, tak jak w tamtym portrecie chwycił pan dyabła.

— Stasiu!! — rzekła Marynia.

— To nie ja wymyśliłem, to pan Świrski.

— Jeśli pan sobie życzy, to powiedzmy: dya-

belek — nie dyabeł... I ładny dyabelek, ale niebezpieczny. Ja, malując, obserwuję sobie rozmaite rzeczy. To ciekawy typ, pani Osnowska.

— Dlaczego?

— Czy pani zauważyła jej męża?

— Jakoś tak byłam nią zajęta, że nie miałam kiedy.

— Otóż, widzi pani, ona go tak zasłania, że go prawie nie widać, a co gorsza, to i ona go nie widzi, tymczasem jest to najpoczeiwszy w świecie chłopiec, ogromnie dobrze wychowany, niesłychanie delikatny, bardzo bogaty i wcale nie głupi, a w dodatku kocha ją do szaleństwa.

Tu Świrski począł rysować i powtórzył jakby przez dystrakcję:

— Ko-cha ją sza-lenie... Niech pani trochę poprawi włosy koło ucha... Jeśli mąż pani także gawędziarz, to będzie w rozpacz, bo Bukacki utrzymuje, że jak się wezmę do roboty, to mi się usta nie zamykają, i nikomu nie dam przyjsć do słowa... Ona, widzi pani, może być sobie do-tychczas czysta, jak lza, ale jest kokietka... To zimne serce a ognista głowa... Niebezpieczny rodzaj! o! niebezpieczny! Całymi tuzinami zjada książki — naturalnie francuskie... Uczy się z nich psychologii, dowiaduje się o temperamentach kobiecych, o kobiecej zagadkowości, szuka w sobie

zagadek, których wcale w niej niema, odnajduje aspiracye, o których wczoraj nie wiedziała, deprawuje się umysłowo i tę deprawacyę uważa za rozum, a męża lekceważy.

— Ale pan straszny człowiek! — zauważyła Marynia.

— Panie, panie, — rzekł Polaniecki — żona mi się jutro schowa ze strachu, jak nadejdzie chwila posiedzenia.

— Niech się nie chowa. To inny typ... Osnowski wcale nie jest głupi, ale ludzie, a zwłaszcza, za przeproszeniem, kobiety, są tak niemądre, że jeśli czyjś rozum nie bije nikogo po głowie, jeśli mu trochę brak pewności siebie, jeśli nie drapie jak kot i nie rozcina jak nóż, to go nie cenia. Dalibóg, widziałem to sto razy w życiu!...

Po chwili przymknął znów jedno oko, popatrzał na Marynię i mówił dalej:

— Wogóle, jakie społeczeństwo ludzkie jest głupie! Ja nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego uczciwość charakteru, serce i taka rzecz jak dobroć, bywają mniej cenione, niż tak zwany rozum? Dlaczego w życiu społecznym istnieją dwie przeważnie etykiety: rozumny lub głupi, a na przykład niema zwyczaju mówić: cnotliwy i niecnotliwy — tak dalece niema zwyczaju, że już same wyrazy wydałyby się śmieszne.

— Bo — rzekł Polaniecki — rozum to jest

latarka, którą sobie musi świecić i cnota i dobroć i serce — inaczej mogą sobie porozbijać nosy, a co gorsza, porozbijać nosy drugim.

Marynia nie rzekła wprawdzie ani słowa, ale z twarzy jej można było wyraźnie wyczytać:

— Jaki ten Staś mądry, to strach!

«Mądry Staś» tymczasem dodał:

— Ja zresztą nie mówię o Osnowskim, bo go nie znam.

— Osnowski — odrzekł Świrski — kocha żonę, jak swoją żonę, jak swoje dziecko i jak swoje szczęście, a ona ma głowę zawróconą. Bóg wie czem i nie odplaca mu wzajemnością. Mnie, jako człowieka nieżonatego, zajmują bardzo kobiety, to też nieraz po całych dniach mówimy, a zwłaszcza mówiliśmy o nich z Bukackim, póki i jego więcej interesowały, niż dziś. Bukacki dzieli kobiety na duchowe plebejuszki, przez które rozumie liche i płaskie dusze — i na duchowe patrycyuszki, to jest natury wyszlachetnione, pełne wyższych aspiracyi i wsparte na zasadach, nie na frazesach. Jest w tem pewna słusność, ale ja wolę mój podział, bo jest prostszy: na wdzięczne serca i niewdzięczne.

Tu na chwilę oddalił się od szkicu, przy-mrużył oczy, poczem wzięwszy małe lusterko, nastawił je ku obrazowi i począł patrzeć na odbicie.

— Pani pyta, co ja rozumiem przez wdzięczne i niewdzięczne serca? — rzekł, zwracając się do Maryni, jakkolwiek o to nie pytała. — Otóż wdzięczne serce jest takie, które czuje, gdy jest kochane, i wzrusza się miłością, i za kochanie coraz bardziej kocha i coraz bardziej się oddaje i ceni je i czei. Niewdzięczne — wyzyskuje tylko miłość, i im jest pewniejsze, tem mniej sobie z niej robi, więcej ją lekceważy i depce... Kobietę o niewdzięcznem sercu dość jest pokochać, by ona przestała kochać. Rybak nie troszczy się o rybę w matni — więc i pani Osnowska nie troszczy się o pana Osnowskiego. W gruncie rzeczy jest to najgrubsza forma egoizmu, jaka istnieje — poprostu murzyńska! — i dlatego niech Bóg strzeże pana Osnowskiego, a ją niech lichy porwie z jej chińskimi oczyma koloru fiołków i fryzowaną grzywką. Malować taką — dobrze! — ale ożenić się z taką — niema głupich! Czy pani uwierzy, że ja się tak boję niewdzięcznego serca, że się dlatego dotąd nie ożenił, choć mi dobrze wydzwoniła czterdziestka.

— Przecie to tak łatwo poznać — rzekła Marynia.

A Świrski odrzekł:

— Licha tam! zwłaszcza gdy ktoś straci zmysły i rozum.

I przegiąwszy swoją atletyczną figurę, patrzył czas jakiś na szkic, poczem rzekł:

— No, dosyć na dziś! Nagadalem się też tak, że chyba muchy popadały ze ścian. Jutro, jak pani będzie miała tego nadto, to niech pani tylko w dłonie kłaśnie... Ja zresztą tyle z panią Osnowską nie gadam, bo i ona lubi gadać... A co ja się naslucham tytułów książek! No, mniejsza z tem! Coś jeszcze chciałem powiedzieć i zapomniałem... Aha! — że pani jest wdzięczne serce!

Polaniecki począł się śmiać i zaprosił Świrskiego na obiad, obiecawszy mu towarzystwo Bukackiego i profesora Waskowskiego.

— Z wielką radością, — odpowiedział Świrski — ja jestem taki samotny, jak dzik. A że jest pogoda i pełnia, więc potem pojedziemy oglądać Koloseum przy księżycu.

Obiad jednak odbył się bez umysłowych kociolków Bukackiego, albowiem ten czuł się niezdrów i napisał, że nie przyjdzie. Natomiast Świrski i Waskowski przystali do siebie wybornie i zaprzyjaźnili się odrazu. Świrski tylko przy robocie nie pozwalał nikomu przyjść do słowa, wogóle zaś lubił i umiał słuchać, a jakkolwiek profesor wraz ze swymi poglądami wydawał mu się czasem komiczny, jednak znać było w staruszkach taką szczerłość i dobroć, że

trudno mógł sobie kogo nie zjednać. Artystę też uderzyła jego mistyczna twarz i wyraz oczu. Trochę go sobie w duszy szkicował, i słuchając o Aryach, myślał: jakby też wyglądała taka głowa, gdyby dobrze uchwycić wszystko, co w niej jest?

Pod koniec obiadu profesor jął rozpytywać Marynię, czyby nie chciała widzieć Papieża, i oświadczył, że za trzy dni ma przybyć belgijska pielgrzymka, do której możnaby się przyłączyć. Świrski, który znał cały Rzym i wszystkich monsiniorów, zaręczył, że potrafi to z łatwością przeprowadzić. Usłyszawszy to, profesor patrzył na niego i spytał:

— To pan prawie Rzymianin?

— Od szesnastu lat.

— Proszę!...

Tu profesor zmieszał się nieco, z obawy, czy nie popełnia niedyskrecyi, ale chcąc jednak wiedzieć, co ma sądzić o człowieku tak sympatycznym, przemógł nieśmiałość i spytał:

— A... czy z Kwirynału, czy z Watykanu?

— Z Pogębina — odpowiedział Świrski, marszcząc nieco brwi.

Zakończenie obiadu przerwało dalsze objaśnienia i dalszą rozmowę. Marynia ledwie mogła dosiedzieć na myśl, iż zobaczy przy księżycu Kapitol, Forum i Koloseum. Jakoż w chwilę

później pojechali przez oświetlone elektrycznością Corso ku ruinom.

Noc była cicha i ciepła, a koło Forum i Koloseum pusto zupełnie, jak zresztą czasem bywa i we dnie. W okolicach kościoła Santa Maria Liberatrice ktoś grał w otwartym oknie na flecie, i w ciszy słychać było każdą nutę. Na przednią część Forum padał głęboki cień od wzgórza i gmachu kapitolńskiego, ale dalsze plany były oblane jasnym, zielonawym światłem, również jak i Koloseum, które zdawało się jak srebrne. Gdy powóz zatrzymał się przy arkadach olbrzymiego cyrku, Polanieccy, Świrski i Waskowski weszli do wnętrza i poczęli się posuwać ku środkowi areny, omijając nagromadzone bliżej arkad gruzy, odlamy kolumn, fryzów, stopy cegieł, kamieni i niszki, stojące tu i owdzie cokóły. Pod wpływem milczenia i pustki słowa nie cisnęły się im do ust. Przez łuki arkad wchodziły do wnętrza snopy miesięcznego światła, które zdawało się spać cicho na podłożu areny, na przeciwległych murach, w szczerbach, rozpadlinach ścian, w zalamaniach, na osrebrzonych mchach i bluszczach, pokrywających tu i owdzie zwalisko. Inne części gmachu, pogrążone w nieprzebitym mroku, czyniły wrażenie czarnych i tajemniczych czeluści. Z położonych nisko kunikułów

szło surowe tchnienie pustki. Rzeczywistość zacierala się wśród tego labiryntu i tej mieszaniny murów, arkad, świetlistych pasem i głębokich cieniów. Olbrzymia ruina zdawała się tracić swój byt realny i stawać się sennem widziadłem, albo raczej jakimś dziwnem wrażeniem, złożonem z ciszy, nocy, księżyca, ze smutku i ze wspomnień wielkiej a pełnej cierpień i krwi przeszłości.

Świrski pierwszy poczał mówić przyciszonym głosem:

— Ile tu bólu, ile lez, jaka niezmierna tragedia!... Niech sobie mówią, co chcą — w chrześcijaństwie tkwi coś nadludzkiego — i tej myśli nie można się oprzeć.

Tu zwrócił się do Maryni i szeptał dalej:

— Niech pani sobie wyobrazi tamtą potęgę: cały świat, miliony ludzi, żelazne prawo, siłę, jakiej nigdy przedtem i potem nie widziano, organizację, jakiej nigdy nie było, wielkość, sławę, setki legionów, olbrzymie miasto, władające światem — i ten tam oto Palatyn, władający miastem; zdawałoby się, że żadna moc ziemską tego nie obali — tymczasem przychodzi dwóch Żydów: Piotr i Paweł — nie z bronią, lecz ze słowem — i patrz pani: tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże, krzyże i krzyże...

Znów nastala cisza, tylko od strony Santa Maria Liberatrice zachodził ciągle głos fletu.

Po chwili profesor Waskowski rzekł, wskazując arenę:

— I tu był krzyż — ale oni go znieśli...

Lecz Polaniecki rozmyślał o słowach Świrskiego, miały one bowiem dla niego żywotniejsze znaczenie, niż mogłyby mieć dla człowieka, który walkę duchową z sobą ukończył. Wreszcie, idąc za biegiem własnych myśli, rzekł:

— Tak, w tem tkwi coś nadludzkiego. Jakaś prawda świeci tu w oczy, jak ten księżyc.

Zwolna mieli się ku wyjściu, gdy wtem na zewnątrz zaturkotał powóz, potem w ciemnej niszy, prowadzącej do środka cyrku, dały się słyszeć kroki i jakieś dwie wysokie postacie wychyliły się z cienia na światło.

Jedna z nich, przybrana w szarą suknię, która w blasku miesięcznym lśniła jak stal, zbliżywszy się na kilka kroków, by lepiej przypatrzeć się zwiedzającym, rzekła nagle:

— Dobry wieczór! Noc taka śliczna, że i my wybraliśmy się do Koloseum. Co za noc!

Polaniecki rozpoznał głos pani Osnowskiej.

Ona zaś, podając mu rękę, mówiła głosem tak miękkim, jak ów głos fletu, dochodzący od strony kościoła:

— Zacznę wierzyć w przeczucia, bo do-
prawdy coś mi mówiło, że znajdę tu znajomych.
Jaka noc śliczna!...

XXXIV.

Wróciwszy do hotelu, Polanieccy znaleźli z pewnem zdziwieniem karty wizytowe państwa Osnowskich, a zdziwienie ich pochodziło stąd, że im to pierwszym, jako młodemu małżeństwu, należało składać wizyty. Na uprzejmość, i tak niezwykłą, trzeba było odpowiedzieć równą uprzejmością, nazajutrz więc pokwapili się z re-wizytą. Bukacki, który ich przedtem widział, jakkolwiek mocno niezdrów i ledwie włączący nogi, zdobył się wszelako na jeden ze swych zwykłych conceptów i rzekł Polanieckiemu, gdy na chwilę zostali sam na sam:

— Ona będzie cię kokietowała, ale jeśli przypuszczasz, że się w tobie zakocha, to się mylisz. W niej jest trochę podobieństwa do brzytwy — potrzeba jej paska do ostrzenia się — i w najlepszym razie będziesz dla niej paskiem.

— Naprzód, nie chcę być jej paskiem, — odpowiedział Polaniecki — a powtóre, jeszcze na to za wcześnie.

— Za wcześniej? To się znaczy, że sobie zabezpieczasz przyszłość.

— Nie, to znaczy, że myślę o czem innem, a także, że coraz więcej kocham swoją Marynię, tak, że gdy skończy się: za wcześniej, będzie: za późno — i że pani Osnowska mogłaby się na mnie poszczerbić, ale nie wyostrzyć.

I Połaniecki, mówiąc to, był szczery: myśli miał istotnie zajęte czem innem, w każdym zaś razie było na to za wcześniej.

Był zaś tak dalece pewny siebie, że jednocześnie czuł pewną gotowość poddania się próbie. Inaczej mówiąc, sprawiłoby mu to pewne zadowolenie, gdyby pani Osnowska na nim się poszczerbiła.

Tymczasem po śniadaniu pojechali z Marynią na posiedzenie do Świrskiego, które jednak krótko trwało, artysta bowiem był sędzią w jakimś konkursie artystycznym i musiał śpieszyć na posiedzenie. Gdy wrócili do siebie, w kwadrans później nadszedł pan Osnowski.

Połaniecki, po rozmowie ze Świrskim, wyniósł dla niego pewne politowanie, ale zarazem jakby lekceważenie, Marynia jednak czuła dla niego żywą sympatyę. Ujęło ją to, co słyszała o jego dobroci, delikatności i przywiązaniu do żony. Teraz zdawało jej się, że te wszystkie przymioty są jakby wypisane na jego twarzy,

wcale zresztą niebrzydkiej, chociaż tu i owdzie pokrytej pryszczami.

Pan Osnowski, powitawszy ich, począł mówić z pewną swobodą człowieka, przywykłego do dobrych towarzystw:

— Ja tu przychodzę z polecenia żony, z pewną propozycją. Chwała Bogu, że ceremonie wizytowe między nami skończone, chociaż za granicą nie warto się zbyt ściśle z tem rachować. Jest rzecz taka: chcemy dziś jechać do Świętego Pawła, a następnie do Tre Fontane. To już za miastem; ciekawy klasztor i śliczny stamtąd widok. Otóż byłoby nam bardzo przyjemnie, gdyby państwo zgodzili się razem odbyć tę wycieczkę.

Marynia zawsze gotowa była na wszelkie wycieczki, zwłaszcza w towarzystwie i przy miłej pogawędce, skutkiem czego poczęła spoglądać na męża, czekając, co powie. Polaniecki zaś spostrzegł, iż ona ma ochotę, a prócz tego pomyślał w duchu: »Chcesz się trochę poszczerbić, to się poszczerb».

I odrzekł:

— Ja zgodziłbym się chętnie, ale to zależy od mojej władzy wyższej.

Władza wyższa jeszcze nie była pewna, czy pokorny podwładny mówi to szczerze, ale wi-

dząc na jego twarzy uśmiech i dobry humor, ośmieliła się wreszcie zawyrokować:

— Z wielką wdzięcznością — tylko czy nie narobimy kłopotu?

— Nie kłopotu, ale przyjemności — odpowiedział Osnowski. — W takim razie doskonale! Za kwadrans tu będziemy.

Jakoż za kwadrans ruszyli. Chińskie oczy pani Osnowskiej pełne były zadowolenia i pogody. Ubrana w fularową suknię koloru irys i w jakieś okrycie, mogące uchodzić za ósmy cud świata, wyglądała rzeczywiście jak rusalka. I nim dojechali do św. Pawła, Polaniecki sam nie wiedział, jakim sposobem pani Osnowska, która nic w tym przedmiocie nie mówiła, potrafiła mu jakoś powiedzieć, a przynajmniej dać do zrozumienia, co następuje:

— Twoja żona to sobie ot, miła, wiejska kobicinka, o moim mężu niema co i mówić. Rozumieć się i dzielić wrażeniami możemy tylko my dwoje.

Ale on ją postanowił drażnić.

Gdy dojechali do św. Pawła, którego zresztą pani Osnowska nie nazywała inaczej, tylko «San Paolo fuori le Mura», mąż jej chciał zatrzymać powóz, lecz ona rzekła:

— Zatrzymamy się z powrotem, bo wówczas

będziem wiedzieli, ile nam czasu zostaje, a teraz jedźmy prosto do Tre Fontane.

Poczem, zwróciwszy się do Polanieckiego, mówiła dalej:

— Są też tu, w tem sławnem podwórzcu, rozmaite rzeczy, o które chciałabym pana zapytać.

— To pani źle trafi, — odpowiedział Polaniecki — bo ja się na tych rzeczach nic a nic nie znam.

Pokazało się wkrótce, przy mijaniu rozmaitych pamiątkowych miejscowości, że w całym towarzystwie zna się najlepiej pan Osnowski. Biedaczysko studyował od rana do wieczora przewodniki, dlatego, by sam mógł być przewodnikiem żonie, a po części dlatego, żeby jej się przez swoją wiedzę podobać. Ale ona lekceważyła objaśnienia, jakich mógł udzielić, właśnie dlatego, że pochodziły od niego. Więcej jej przypadła do smaku zuchwała pewność siebie, z jaką Polaniecki przyznał się, iż o starożytnościach nie ma pojęcia.

Za świętym Pawłem odkrył się widok na Kampanię, wraz z jej akweduktami, zdającymi się biedz jakby z pośpiechem do miasta, i na góry Albańskie, przesłonięne błękitną mgłą oddalenia, zarazem spokojne i świetliste. Pani Osnowska patrzała na nie czas jakiś rozmarzonym wzrokiem, poczem spytała:

— Czy państwo byli w Albano i w Nemi?

— Nie — odpowiedział Polaniecki; — posiedzenia u Świrskiego przecinają nam dzień tak, że nie możemy czynić większych wycieczek przed ukończeniem portretu.

— Myśmy już byli, ale jak państwo wybiorą się tam, weźcie mnie jeszcze raz z sobą — weźcie mnie z sobą... Dobrze? Pani pozwoli? — dodała, zwracając się do Maryni. — Będę trochę piątem kołem, ale to nic... Zresztą będę cichutko, cichutko, siedzieć w kącie powozu i ani się odezwę — ani mrumru! Dobrze...

— Oj, mała, mała! — rzekł pan Osnowski. A ona mówiła dalej:

— Mąż mój nie chce wierzyć, że zakochałam się w Nemi. A ja się zakochałam. Jak tam byłam, to mi się zdawało, że tam jeszcze chrześcijaństwo nie doszło, że nocami wychodzą jacyś kapłani i odprawiają nad jeziorem pogańskie obrzędy. Krótko powiem: cisza i tajemnica — oto Nemi. Czy pan uwierzy, że jak tam byłam, to mi ochota przyszła zostać pustelnicą — i dotąd nie przeszła. Zbudowałabym sobie pustelnię nad brzegiem jeziora — i chodziłabym w długiej szarej sukni, podobnej do habitu świętego Franciszka z Asyżu — i boso. Cobym dała, żeby zostać pustelnicą!... Widzę siebie nad jeziorem...

— Anetko, a coby się ze mną stało? — spytał pół żartem, pół poważnie, pan Osnowski.

— Tybyś się pocieszył — odpowiedziała krótko.

Połaniecki zaś pomyślał:

— Byłabyś pustelnicą, pod warunkiem, żeby na drugim brzegu jeziora stało parę tuzinów frantów i przypatrywało się przez lornetki, co pustelnica robi i jak wygląda.

Był zbyt dobrze wychowany, żeby powiedzieć jej wprost to, co pomyślał, ale powiedział jej coś podobnego i co można było tak zrozumieć, a ona poczęła się śmiać i odrzekła:

— Naturalnie. Żyłabym z jałmużny, więc czasem musiałabym ludzi widywać, i gdybyście państwo przyjechali do Nemi, przyszedłabym także do pana i powtarzałabym po cichutku: «Un soldo! un soldo!»

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu swe drobne ręce i poczęła niemi potrząsać, powtarzając z pokorą:

— Un soldo per la povera! un soldo!...

I patrzała mu w oczy.

Pan Osnowski zaś mówił tymczasem Maryni:

— To się nazywa Tre Fontane, bo tam są trzy źródła. Tam był święty św. Paweł, i jest podanie, że głowa jego podskoczyła trzykrotnie, i że na tych miejscach wytrysły źródła. To

teraz należy do Trapistów. Dawniej tam nie mogli nocować, taka była febra, ale teraz mniejsza, bo zasadzili na wzgórzach cały las eukaliptów. O! widać już stąd!

A pani Osnowska, przechylona nieco w tył, przymknęła na chwilę oczy i mówiła Połanieckiemu:

— Mnie to powietrze rzymskie upaja. Jestem jak nieprzytomna. W domu nie wymagam więcej od życia nad to, co mi daje, a tu się demoralizuję, tu czuję, że mi czegoś brak. Czy ja wiem czego? Tu się coś przeczuwa, coś odgaduje, do czegoś tęskni... Może to źle. Może niepotrzebnie to mówię? Ale ja zawsze mówię to, co mi przez myśl przejdzie. W domu, jak byłam małą, nazywali mnie Szczerotką. Poproszę męża, żeby mnie stąd wywiozł. Może najlepiej żyć w swojej ciasnej skorupce, jak żółw, albo jak ślimak.

Na to Połaniecki odrzekł poważnie:

— W skorupie może być dobrze ślimakom lub żółwiom, ale nie ptakom i do tego rajskim, o których jest podanie, że nie mają nóg i z tej przyczyny nie mogą nigdy spocząć, tylko muszą latać i latać.

— Jakie śliczne podanie... — odpowiedziała pani Osnowska.

I podniósłszy dłonie, poczęła niemi poruszać, udając ruch skrzydeł i powtarzając:

— Tak ciągle w powietrzu, w powietrzu!

Pochlebilo jej porównanie, a zarazem zdziwiło ją to, że Połaniecki mówił z powagą w głosie, a zarazem z twarzą niedbałą i jakby ironiczną. Począł ją zajmować, bo wydał jej się bardziej inteligentnym i trudniejszym do opanowania, niż się spodziewała.

Tymczasem dojechali do Tre Fontane. Zwiedzili ogród, kościół i kaplicę, w której podziemiu biją trzy źródła. Pan Osnowski objaśniał swoim dobrym, trochę jednostajnym głosem, co przedtem wyczytał. Marynia słuchała go z zajęciem, Połaniecki zaś pomyślał:

— Jednak żyć z nim trzysta sześćdziesiąt pięć dni na rok musi być trochę ciężko!

Usprawiedliwiał to poniekąd w jego oczach panią Osnowską, która, wzięwszy teraz na się nową rolę rajskiego ptaka, nie spoczęła na chwilę nietylko na ziemi, ale na żadnym przedmiocie. Naprzód napiła się likieru z eukaliptów, który klasztor wyrabia jako środek przeciw febrze, następnie oświadczyła stanowczo, że gdyby była mężczyzną, toby została Trapistą; potem jednak przypomniała sobie, że uśmiechałby się jej zawód żeglarski, «ciągle między morzem a niebem — jakby za życia w nieskończoności»;

wreszcie jednak nad wszystkimi innemi wzięła w niej górę chęć zostania wielkim, bardzo wielkim pisarzem, który maluje najdrobniejsze poruszenia duszy, pół-świadome uczucia, niedopowiedziane pragnienia, wszystkie kształty, wszystkie kolory, wszystkie cienie. Zgromadzeni dowiedzieli się też pod sekretem, że pisze swój pamiętnik, który «ten poczciwy Józio» uważa za arcydzieło, ale ona wie, że to jest nic, nie ma najmniejszych pretensyi i wyśmiewa się i z Józia i z pamiętnika.

«Józio» zaś patrzył na nią rozkochanemi oczyma, z wielką miłością na popryszczonej twarzy, i powtarzał, protestując:

— A co do pamiętnika, to przepraszam, bardzo przepraszam!

Wyjechali już pod zachód. Od drzew kładły się długie cienie, słońce stało się wielkie i czerwone. Dalekie akwedukty i góry Albańskie świeciły różowo. Byli w połowie drogi, gdy z wieży św. Pawła zadzwoniono na «Anioł Pański» — i wnet za tym dzwonem ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty. Każdy kościół podawał głos następnemu, i zrobił się chór tak ogromny, tak rozdzwiewało się całe powietrze, jakby na «Anioł» dzwoniło nie tylko miasto, ale cała okolica, równiny i góry.

Połaniecki spojrzał na oświeconą złotym bia-

skiem twarz Maryni. Był w niej wielki spokój i skupienie. Widać było doskonale, że tak sobie teraz odmawia «Aniol Pański», jak odmawiała w Krzemieniu, gdy dzwoniono w Watorach. Zawsze i wszędzie jednak. Polanieckiemu przypomniła się znów: «służba boża». Wydało mu się to tak proste i uspokajające, jak nigdy. Ale zarazem, teraz, zbliżając się do miasta, zrozumiał trwałość, żywotność i ogrom tych wierzeń. «To wszystko — pomyślał — przecie tak trwa od półtora tysiąca lat, i nie w czem innem moc i niepożytość tego miasta, tylko w tych wieżach, dzwonach, w tej stateczności krzyża, który trwa i trwa». Tu znów przypomniały mu się słowa Świrskiego: «Tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże i krzyże!» I wydało mu się niewątpliwem, że w samej tej trwałości jest coś nadludzkiego. Tymczasem dzwony biły, a niebo nad miastem oblewało się zorzą. Pod wrażeniem modlącej się Maryni i dzwonów, i tego niespornego nastroju, który zdawał się unosić nad miastem i całą ziemią, w Polanieckim, który miał wiele duchowej prostoty, poczęła się wyłaniać następna myśl: «Jakim musiałbym być głupcem i pyszałkiem, gdybym wobec tej potrzeby wiary i tego poczucia Boga miał szukać jakich swoich własnych form czci i miłości, zamiast przyjąć

te, które Marynia nazywa «służbą bożą», i które muszą być jednak najlepsze, skoro świat żyje w nich od blisko dwóch tysięcy lat...» Poczem, jako człowieka praktycznego, uderzyła go rozsądna strona tej myśli, i jał dalej mówić sobie, niemal wesoło: «Z jednej strony tradycja tysięcy lat, życie Bóg wie ilu pokoleń, Bóg wie ilu społeczeństw, którym było i jest w tych formach dobrze, powaga Bóg wie ilu głów, które uważają je za jedyne — z drugiej strony kto taki? — ja! wspólnik Domu komisowego pod firmą Bigiel i Połaniecki! — i ja miałbym mieć pretensyę, że wymyślę coś lepszego, w co się Pan Bóg lepiej pomieści? Toż trzebaby chyba być durniem! Ja przecie jestem z sobą szczerzy człowiek i nie zniósłbym, gdyby mi przychodziło od czasu do czasu na myśl, że jednak jestem kiep. A do tego, tak wierzyła moja matka i tak wierzy moja żona — a nie widziałem w nikim więcej spokoju, niż w nich».

Tu spojrział raz i drugi na Marynię, a ona widocznie skończyła swój «Anioł Pański» — bo uśmiechnęła mu się na odpowiedź i spytała:

— Coś ty taki milczący?

— Wszyscy milczymy — odpowiedział.

I tak było, ale z różnych przyczyn. W czasie, gdy Połaniecki był zajęty swemi myślami, pani Osnowska zagabnęła go kilkakrotnie

i oczyma i słowami. On jednak na słowa odpowiadał coś piąte przez dziesiąte — spojrzeń zaś wcale nie zauważył — i poprostu obraził ją; mogła mu przebaczyć, a nawet mogło jej się podobać, gdy na oznajmienie, że pragnęłaby być zakonnicą, odpowiedział jej ukrytem w grzecznych słowach zuchwalstwem, ale dotknęło ją śmiertelnie, gdy poprostu przestał na nią zważać — i za karę również przestała na niego zważać.

Ale, jako osoba dobrze wychowana, stała się tem grzeczniejszą dla Maryni. Poczęła ją wypytywać o jutrzejsze zamiary i, dowiedziawszy się, że mają być w Watykanie, oświadczyła, że i oni z mężem mają karty wstępu i że również skorzystają ze sposobności.

— Pani wie, jak trzeba być ubraną? — spytała: — czarna suknia i na głowie czarna koronka. Trochę się staro w tem wygląda, ale to nieodzowne.

— Wiem, przestrzegał mnie pan Świrski — odpowiedziała pani Polaniecka.

— Pan Świrski ciągle mi w czasie posiedzeń o pani opowiada. On ma dla pani ogromną sympatyę.

— I ja dla niego — rzekła Marynia.

W czasie tej rozmowy zajechali przed hotel. Polaniecki otrzymał od pięknej pani tak lekki

i oziębły uścisk ręki, że, jakkolwiek głowę miał zajętą czem innem, jednak to zauważył.

— Czy to jest nowy sposób, — pomyślał — czy też ja powiedziałem coś, co jej się nie podobalo?

I wieczorem spytał Marynię:

— Co myślisz o pani Osnowskiej?

— Myślę, — odrzekła — że pan Świrski może mieć trochę słuszności.

A Polaniecki odpowiedział:

— Ona w tej chwili pisze pamiętnik, który «Józio» uważa za arcydzieło...

XXXV.

Nazajutrz, gdy Marynia wyszła ubrana do męża, ów ledwie ją poznał. Ubrana w czarną suknię i w czarnej koronce na głowie, wydawała mu się wyższą, szczuplejszą, smaglejszą i starszą. Ale podobala mu się pewna w niej powaga, która przypomniala mu chwilę ślubu. W pół godziny później wyjechali. Marynia przyznała mu się po drodze do strachu i do bicia serca, on zaś uspokajał ją, żartując, chociaż także był nieco wzruszony, a gdy po krótkiej drodze wjechali w olbrzymie półkole przed

św. Piotrem, czuł, że i jemu pulsa nie biją jak codziennie, a prócz tego miał takie dziwne wrażenie, jakby był mniejszy niż zwykle. U schodów, przy których stało kilku szwajcarów, przybranych w przepyszne, obmyślane przez Michała Anioła ubiory, znaleźli Świrskiego, który wprowadził ich na górę, wraz z tłumem ludzi, przeważnie Belgów. Marynia, trochę ogłuszona, sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w bardzo obszernej sali, w której tłum był jeszcze większy, z wyjątkiem w środku, gdzie szwajcarowie, ustawieni w szpaler, utrzymywali szerokie wolne przejście. Tłumy, między którymi słychać było język francuski i flamandzki, szepcząc między sobą zniżonymi głosami, zwracały głowy i oczy ku temu przejściu, w którym zjawiały się od czasu do czasu przez drzwi przyległej sali postacie w dziwnych kostiumach, przenoszących Polanieckiego myślą do galeryi antwerpskich lub brukselskich. Zdawało mu się, że średnie wieki zmartwychwstają: czasem więc był to jakby jakiś rycerz średniowieczny, w innym wprawdzie hełmie niż na dawnych obrazach, ale ze stałą na piersiach; czasem niby herold w krótkiej czerwonej dalmatyce i w czerwonym na głowie berecie; chwilami przez uchylone drzwi migaly purpury kardynalskie, lub fiolety biskupie, strusie pióra, koronki na czar-

nych aksamitach i głowy niezmiernie sędziwe, o białych włosach, lub twarze jakby z sarkofagów. A jednak znać było, że spojrzenia tłumów padają na te osobliwe stroje, na te barwy i na te twarze, jakby mimochodem, że oczy szukają czegoś innego, wyższego, i czegoś innego serca, że uwaga skupia się w myślach, a uczucie w duszach, w oczekiwaniu jakiejś chwili, którą się w życiu raz ma, a na zawsze pamięta. Połaniecki, trzymając Marynię za rękę, by jej nie zgubić w tłumie, czuł, jak ta ręka drży ze wzruszenia, sam zaś, wśród tych cichych tłumów, wśród tej powagi historycznej i jakby zmartwychwstałych prastarych czasów, wśród tego skupienia i oczekiwania — doznał znów tego dziwnego wrażenia, że staje się coraz mniejszy i mniejszy, i tak mały, jak nigdy w życiu.

Wtem jakiś głos cichy i nieco zdyszany szepnął przy nich:

— Upatrywałem was i ledwie znalazłem. Zdaje się, że to już będzie zaraz.

Ale to nie miało być jeszcze zaraz. Świrskiego tymczasem powitał znajomy Monsinior, i pomówiwszy z nim kilka słów, wprowadził uprzejmie całe towarzystwo do przyległej sali, obitej czerwonym adamaszkiem. Połaniecki ze zdziwieniem spostrzegł, że i tu już było pełno

ludzi, z wyjątkiem jednego końca sali, który osłaniała straż honorowa, a w którym stało na podwyższeniu krzesło, przed niem zaś kilku prałatów i biskupów, rozmawiających z sobą poufnie. Tu oczekiwanie i skupienie wpadało w oczy jeszcze wyraźniej. Widać było, że ludzie wstrzymują oddechy i że wszystkie twarze mają uroczysty i tajemniczy wyraz. Błękitna jasność dnia, pomieszana z purpurowymi odblaskami obicia, napelniała tę salę jakimś niezwykłym światłem, w którym promienie słońca, wdzierające się tu i owdzie przez szyby, wydawały się bardziej rumiane i jakby czerwieńsze.

Czekali jeszcze przez czas jakiś, наконец w pierwszej sali dał się słyszeć szmer, potem pomruk, potem okrzyk, наконец w otwartych bocznych drzwiach ukazała się biała postać, niesiona przez gwardzystów szlacheckich. Ręka Maryni ścisnęła nerwowo dłoń Połanieckiego, ów zaś oddał jej ten uścisk, i wrażenia szybkie, zlewające się w jedno ogólne poczucie jakiejś wyjątkowej i uroczystej chwili, poczęły cisnąć się tak do jego umysłu, jak w czasie ślubu.

Jeden z kardynałów począł przemawiać, lecz Połaniecki nie słyszał i nie rozumiał jego przemowy. Jego oczy, myśl i cała dusza były przy przybranej białej postaci. Nic z niej nie uchodziło jego uwagi. Uderzyło go jej niesłychane

wycieńczenie, szczupłość, chudość i twarz tak blada, a zarazem tak przezrocza, jak bywają twarze umarłe. Było w niej coś bezcielesnego, a przynajmniej wydała mu się nawpół tylko ciałem, a nawpół tylko zjawiskiem; jakby tylko światłem, przeświecającem przez alabaster, jakby duchem, wszczepionym w jakąś przezroczą materję, jakby pośredniem ogniwem między dwoma światami, ogniwem ludzkim jeszcze, lecz już i nadludzkim, ziemskim dotąd, ale zarazem nadziemskim. I przez dziwną antytezę materya w niej wydawała się czemś wi-
dziadłowem, duch czemś realnem.

Potem, gdy ludzie poczęli zbliżać się do niej po błogosławieństwo, gdy Polaniecki zobaczył u stóp jej swoją Marynię, gdy uczuł, że do tych kolan, nawpół już empirejskich, można zarazem pochylić się jak do ojcowskich, ogarnęło go silniejsze nad wszystko wzruszenie, oczy mu zaszyły mgłą i prawda! — nigdy w życiu nie czuł się tak małym ziarnkiem piasku, ale zarazem uczuł się ziarnkiem piasku, w którym bije wdzięczne serce dziecka.

Po wyjściu wszyscy byli milczący. Marynia miała oczy jakby rozbudzone ze snu; profesorowi Waskowskiemu trzęsły się ręce; na śniadanie przywłókł się Bukacki, ale sam będąc chory, nie potrafił nikogo rozgadać; nawet

Świrski mało gawędził podczas posiedzenia — i tylko, wracając ciągle do tego samego przedmiotu, od czasu do czasu powtarzał:

— Tak, tak! Kto tego nie widział, ten nie może mieć o tem żadnego pojęcia. To zostaje.

Wieczorem Polaniecki z Marynią poszli oglądać zachód słońca z Trinità dei Monti. Dzień kończył się bardzo pogodnie. Miasto całe pogrążone było jakby w rozpylonym złotym blasku; pod ich stopami, hen, w dole, na Piazza d'Espagna, poczynął się już zmierzch, ale zmierzch jeszcze świetlisty, w którego lagodnych tonach widać było bzy, irysy i białe lilie w wystawach kwiatowych po obu stronach Condotti. W całym obrazie był jakiś wielki i niezmacony spokój, jakby kojąca zapowiedź nocy i snu. Potem plac Hiszpański począł coraz bardziej zanurzać się w cień, tylko Trinità świeciła ciągle purpurowo.

I Polaniecki i Marynia odczuli ten spokój w sobie. Zstępowali teraz z olbrzymich schodów z jakimś dziwnem uczuciem ciszy w duszach. Wszystkie wrażenia dnia układały się w nich w linie tak wielkie i spokojne, jak owe pasma zorzy, która świeciła jeszcze nad nimi. Polaniecki wreszcie rzekł:

— Wiesz, co ja pamiętam jeszcze z dziecin-

nych lat? — że u nas w domu mówiło się pacyerz wieczorny zawsze razem.

I począł patrzeć pytającym wzrokiem w jej oczy.

— A, mój Stachu! — odrzekła głosem, w którym drgało wzruszenie: — ja ci tylko nie śmiałam o tem mówić... mój najlepszy!

On zaś odrzekł:

— «Służba boża!» — czy pamiętasz?

Lecz ona powiedziała to niegdyś z taką prostotą i jako rzecz, która tak bardzo rozumiała się sama przez się, że teraz nie pamiętała nic a nic.

XXXVI.

Polaniecki ciągle jednak był w niełasce u pani Osnowskiej. Spotykając się z nim u Świrskiego między jednym posiedzeniem a drugim, mówiła z nim tylko tyle, ile nakazywało jej dobre wychowanie i grzeczność. Polaniecki widział to doskonale, czasem pytał się siebie: «Czego ona ode mnie chce?» — i niewiele sobie z tego robił, a byłby jeszcze mniej robił, gdyby jednak pani Osnowska, zamiast dwudziestu ośmiu, miała pięćdziesiąt ośm lat, gdyby nie posiadała tak fiołkowych oczu i tak wiśniowych ust. I taka

jest natura ludzka, że pomimo, iż rzeczywiście niczego od niej nie chciał i nie wyglądał, nie mógł wstrzymać się od myślenia, coby być mogło, gdyby istotnie starał się o jej łaski, i do czego ona byłaby zdolną się posunąć.

Odbyli we czworo jeszcze jedną przejażdżkę do katakumb św. Kaliksta, Połaniecki bowiem chciał się wypłacić grzecznością za grzeczność, to jest powozem za powóz. Ale wycieczka ta nie przyniosła zgody. Rozmawiali tylko o tyle, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Jego wreszcie zaczęło to gniewać. Rzeczywiście, to zachowanie się pani Osnowskiej wytwarzało między nimi szczególny stosunek, niby niechętny, ale im tylko wiadomy, zatem coś wyłącznego między nimi, jakiś rodzaj tajemnicy, do której nikt inny nie był dopuszczany. Połaniecki sądził, że wreszcie wszystko to urwie się z chwilą, gdy koło jej portretu nie już nie będzie do roboty, ale tymczasem, choć twarz była już dawno skończona, pozostawało dużo innych drobnych szczegółów, dla których obecność uroczej modelki okazywała się niezbędną.

Składało się zaś znowu tak choćby z tej prostej przyczyny, że Świrski nie chciał tracić czasu, że gdy Połanieccy przychodzili, państwo Osnowscy byli jeszcze w pracowni. Czasem też przyzostawali nieco, dla powitania się i krótkiej

pogawędki o wczorajszych wrażeniach, czasem pan Osnowski bywał wysyłany przez żonę za jakąś sprawą, lub po jakiejś wiadomości — wówczas wychodził naprzód, zostawiając jej powóz przed pracownią.

I raz zdarzyło się, że gdy Marynia już zasiadła do pozowania, pani Osnowska jeszcze nie była wyszła; przez chwilę, dowiedziawszy się, że Polanieccy byli zeszłego wieczoru w teatrze, wypytywała się, nakładając przed lustrem kapelusz i rękawiczki, o śpiewaków i operę — poczem, zwróciwszy się do Polanieckiego, rzekła:

— A teraz poproszę o odprowadzenie mnie do powozu.

I zarzuciwszy okrycie, poczęła szukać wstążek, przyszytych z tyłu do podszewki, żeby je zawiązać w pasie, ale w przedpokoju zatrzymała się nagle.

— Nie mogę przez rękawiczki znaleźć wstążek — rzekła: — niech się pan zmiluje nade mną!

Polaniecki począł szukać, ale przytem musiał ją niemal objąć. Przez chwilę oblał go wargami, tembardziej, że pochyliła się ku niemu, tak, że ciepło od jej twarzy i ciała poczęło na niego bić.

Ona zaś zapytała półgłosem:

— Czemu się pan gniewa na mnie? To źle!

Ja tak potrzebuję przyjaznych dusz! Co ja panu zrobiłam?

On tymczasem znalazł wstążki, odsunął się, ochłonął i z tem nieco grubem zadowoleniem człowieka szorstkiego, który chce wyzyskać swój tryumf i zaznaczyć, że się nie dał — odpowiedział jej poprostu impertynencyą:

— Pani mi nic nie zrobiła — i nic nie może zrobić.

Lecz ona odbiła niegrzeczność, jakby piłkę w tenisie:

— Bo tak mało czasem zważam na ludzi, że ich prawie nie widzę.

Poczem poszli w milczeniu aż do powozu.

— A więc to tak? — myślał, wracając do pracowni Polaniecki: — więc tamby się można posunąć tak daleko, jak się podoba!

I znów przebiegł go dreszcz od stóp do głowy.

— ...Tak daleko, jak się podoba... — powtórzył.

Przyczem nie zdał sobie sprawy, że popelnia omyłkę, jaką popelniają codziennie tuziny mężczyzn, miłośników polowania na cudzych gruntach. Pani Osnowska była kokietką, miała oschłe serce i zniecniały już umysł, ale była jeszcze o sto mil od zupełnego fizycznego upadku.

Tymczasem wrócił do pracowni z uczuciem, że uczynił dla Maryni jakąś ogromną ofiarę, i z pewnym żalem w sercu, naprzód z tego powodu, że ona o tem wiedzieć nie będzie, a po wtóre, że choćby się dowiedziała, toby jego postępek uważała za zupełnie prosty. To poczucie gniewało go, i gdy spojrział na nią, na czyste jej oczy, na twarz jej spokojną i piękną uczciwą pięknością, mimowoli porównanie tych dwóch kobiet nasunęło mu się na myśl, i w duszy powiedział sobie:

— Ach, Marynia! taka wołałaby się w ziemię zapasć! tej można być pewnym!

I rzecz szczególna. Było w tem niewątpliwie uznanie, ale był zarazem odcień politowania i jakby rozdrażnienia. Była to dusza, tak bardzo jego, iż nie czuł się w obowiązku do ustawicznego podziwu nad jej wartością.

I przez resztę posiedzenia wracał ustawicznie myślą do pani Osnowskiej. Przypuszczał, że w przyszłości przestanie mu poprostu rękę podawać, i pokazało się, iż się znów omylił. Przeciwnie, chcąc mu dowieść, że nie przywiązuje żadnej wagi do niego, ani do jego słów, była z nim grzeczniejsza, niż przedtem. Tylko pan Osnowski miał minę obrażoną i stawał się dla niego z każdym dniem bardziej lodowaty — zapewne wskutek rozmów z «Anetką».

Lecz w kilka dni później, innego rodzaju wrażenia zatarły to zajęcie w pamięci Polanieckiego. Bukacki oddawna ciągle był niezdrów; narzekał coraz bardziej na ból głowy z tyłu czaszki i na jakieś dziwne uczucie, jakby rozbratu z własnymi mięśniami. Humor jego odzywał się jeszcze czasem, ale wybuchał i gasł, jak ogniotrysk. Coraz rzadziej przychodził na wspólne obiady w hotelu. Nakoniec któregoś ranka Polaniecki odebrał jego kartkę, skreśloną bardzo niepewną ręką, a w niej słowa:

«Mój drogi, zdaje się, że od dzisiejszej nocy jestem na wsiadanem. Jeśli chcesz widzieć odjazd, to przyjdź do mnie, zwłaszcza w braku czego lepszego do roboty».

Polaniecki zataił kartkę przed Marynią, ale poszedł natychmiast. Zastał Bukackiego w łóżku, a przy nim lekarza, którego zresztą Bukacki natychmiast odprawił.

— Przestraszyłeś mnie okropnie — rzekł Polaniecki: — co ci jest?

— Nic wielkiego: małeńki paraliżyk lewej części ciała.

— Bójże się Boga!

— Rozumnie mówisz! Jeśli kiedy była pora po temu, to teraz. Nie mam władzy w lewej ręce, w lewej nodze — i nie mogę wstać. Takem się obudził dziś rano. Myślałem, że stracił

i mowę i zacząłem sobie deklamować: «Per me si va» — ale jak widzisz — nie! Język został — a teraz pracuję nad odzyskaniem pogody myśli.

— Czyś ty tylko pewny, że to paraliż? Może to chwilowe odrętwienie.

— «Czem jest życie? ach, chwilką tylko!» — począł deklamować Bukacki. — Nie mogę się ruszać, i skończyło się — albo jeśli wolisz: zaczęło się!

— Toby była okropna rzecz, ale ja w to nie wierzę. Każdy może na czas jakiś zdrętwieć.

— Bywają chwile w życiu nieco przykre, jak mówił karaś, którego kucharka oskrobywała nożem z łuski. Przyznaję ci się, że w pierwszej chwili strach mnie zdjął. Czy ty miałeś kiedy uczucie podnoszenia się włosów na głowie? Niezupełnie ono się da policzyć do uczuć rozkosznych. Ale teraz przyszedłem już do równowagi, i po trzech godzinach wydaje mi się, żem sobie żył z moim paraliżem od dziesięciu lat. Kwestya przyzwyczajenia! — jak mówił rydz na patelni. Dużo gadam, bo nie mam wiele czasu. Czy ty wiesz, mój drogi, że ja za parę dni umrę?

— Prawdziwie gadasz! Ludzie sparaliżowani żyją po trzydzieści lat.

Bukacki odpowiedział:

— Nawet po czterdzieści! Paraliż jest to po-niekąd luksus, na jaki sobie mogą niektórzy

pozwolić — ale nie tacy, jak ja. Dla tego człowieka, który ma porządny kark, porządne plecy i porządne łydki, to może być nawet rodzajem wypoczynku, rodzajem wywczasu po wesolej młodości — i sposobnością do rozmyślań — ale dla mnie! Pamiętasz, jakieś wyśmiewał moje łydki? Otóż powiadam ci, że miałem wówczas elefantiasis w porównaniu z tem, co dziś jest. To nieprawda, że każdy człowiek jest bryłą — ja jestem tylko linią — i do tego linią, idącą — bez żartów — *w nieskończoność!*...

Polaniecki począł się zżymać, zaprzeczać, powoływać się na znane sobie przykłady, lecz Bukacki odparł:

— Daj pokój! ja czuję i wiem, że za parę dni przyjdzie paraliż mózgu. Nie mówiłem nikomu, że ja się od roku tego spodziewałem i od roku czytałem medyczne książki... Przyjdzie drugi atak, i będzie koniec!

Tu umilkł, lecz po chwili począł znów mówić:

— I czy myślisz, że ja tego nie wolę! Pomyśl, że ja jestem samotny, jak odcięty od ręki palec. Nie mam nikogo... Tu, a nawet w Warszawie, mogliby mnie pilnować tylko ludzie płatni. To ogromnie podle życie, bez ruchu i bez żywego ducha bliźniego. Gdy stracę mowę, jak straciłem ruch, to pierwsza lepsza dozorczyń,

albo pierwszy lepszy dozorca, będzie mnie mógł po fizyognomii bić, ile mu się podoba. A trzeba ci wiedzieć jedną rzecz. Złakłem się w pierwszej chwili paraliżu, ale w mojem marnem ciele siedzi harda dusza — przypomnij sobie, com ci mówił, że się śmierci nie boję — i nie boję się!

Tu w oczach Bukackiego mignął jakiś płowy odblask odwagi i energii, ukrytej gdzieś na dnie tej zwichniętej i rozmiękczonej duszy.

Lecz Połaniecki, który miał dobre serce, położył rękę na jego sparaliżowanej dłoni i rzekł z wielką serdecznością:

— Mój Adziu! Nie przypuszczaj tylko, że cię tak zostawimy, jak jesteś — i nie mów, że nie masz nikogo. Masz mnie, a oprócz mnie i moją żonę, i Swirskiego, i Waskowskiego, i Bigielów. Dla nas nie jesteś obcy. Przewiozę cię do Warszawy, umieszczę w domu zdrowia, i będziemy cię doglądali, a po pysku żaden dozorca nie będzie cię bił — naprzód dlatego, że jabym każdemu kości połamał, a powtóre, że u nas są Szarytki, a między niemi pani Emilia.

Bukacki umilkł i trochę pobladał. Był i on więcej wzruszony, niż chciał okazać. Przez oczy przeszedł mu cień. Po dłuższem milczeniu rzekł:

— Ty jesteś dobry chłopak. I sam nie wiesz, że dokazałeś cudu, boś dokazał, że jeszcze cze-

goś chcę... Tak, ogromniebym chciał do Warszawy — między was wszystkich. Ogromniebym się cieszył Warszawą!...

— Trzeba, żebyś i tu zaraz przeniósł się do jakiego domu zdrowia pod stały nadzór. Świrski powinien wiedzieć, gdzie najlepiej. Tymczasem oddaj mi się w łapy — dobrze? Pozwól, że ja się za ciebie rozporządzę.

— Rób, co chcesz — odpowiedział Bukacki, w którego, na widok nowych planów i energii Polanieckiego, poczęła wstępować otucha.

Polaniecki napisał do Świrskiego, do Waskowskiego i wysłał natychmiast posłańców. W pół godziny zjawili się obaj, a Świrski ze słynnym miejscowym lekarzem — i jeszcze przed południem Bukacki znalazł się w domu zdrowia, w jasnym i wesołym pokoju.

— Jaki to łagodny i ciepły ton — rzekł, spoglądając na złotawy kolor ścian i pulapu. — To ładne.

Poczem zwrócił się do Polanieckiego:

— Przyjdź do mnie wieczorem, — rzekł — a teraz idź do żony.

Polaniecki pożegnał się i wyszedł. Przyszedszy do domu, opowiedział ostrożnie Maryni cały wypadek, nie chciał jej bowiem przestraszać nagłą wieścią, przypuszczając, że może być w stanie odmiennym. Marynia poczęła go prosić,

by zabrał ją do Bukackiego, jeśli nie wieczorem, to nazajutrz rano — co przyrzekł uczynić. Wybrali się też zaraz po śniadaniu, gdyż posiedzenia tego dnia nie było.

Ale przedtem profesor Waskowski nie odstępował Bukackiego ani na chwilę. Gdy chory zagospodarował się już w nowym łóżku, w domu zdrowia, staruszek począł mu opowiadać, jak raz myślał już, że umrze, ale po spowiedzi i po przyjęciu sakramentów zrobiło mu się jakby cudem lepiej.

— Znana metoda, kochany profesorze, — odpowiedział z uśmiechem Bukacki — i wiem, o co panu chodzi.

A profesor zmieszał się, jakby złapany na złym uczynku — i złożył ręce.

— Bo ja się załóżę, że toby ci pomogło! — odrzekł.

Bukacki zaś odpowiedział z odblyskiem dawnego humoru:

— Dobrze. Za parę dni przekonam się, ile mi to pomoże — z tamtej strony rzeki.

Przybycie Maryni ucieszyło go tembardziej, że było dla niego niespodzianką. Począł mówić, że nie spodziewał się już po tej stronie rzeki zobaczyć żadnej kobiety, a do tego swojej. Trochę przytem na wszystkich zrzędził, ale z widocznem wzruszeniem.

— Co to za romantycy! — mówił. — To jest wprost brak rozsądku zajmować się takim kościanym dziadkiem, jak ja. Wy nigdy nie potraficie być rozsądni. Po co to? na co? Oto jeszcze przed śmiercią muszę być wdzięczny — i jestem wdzięczny — szczerze — bardzo szczerze!....

Ale Marynia nie dała mu mówić o śmierci, natomiast z wielkim spokojem mówiła o konieczności przeniesienia się do Warszawy, między swoich; mówiła o tem, jak o rzeczy, której możliwość wykonania nie podlega najmniejszej wątpliwości, i potrafiła zwolna wszczepić to przekonanie w Bukackiego. Dawala mu rady, jak ma się urządzić, a on w końcu słuchał ich chciwie. Myśli jego przeszły w jakiś stan folgi, w którym dały sobą powodować. Czuł się jakby dzieckiem, i do tego biednem dzieckiem.

Tego samego dnia odwiedził go jeszcze pan Osnowski, i ten również okazał mu tyle zajęcia i serca, ile mógł okazać rodzony brat. Bukacki wprost się tego wszystkiego nie spodziewał i na nic podobnego nie liczył. To też, gdy późnym wieczorem przyszedł jeszcze raz Polaniecki, i gdy zostali sam na sam, rzekł:

— Powiem ci teraz szczerze: nigdy lepiej nie czułem, że z życia zrobiłem głupią farsę i że je zmarnowałem, jak pies.

Po chwili zaś dodał:

— I gdybym był chociaż znajdował prawdziwe upodobanie w tej metodzie, według której żyłem — ale i to nie. Jaka głupia ta nasza epoka! Człowiek się rozdwaja: wszystko, co w nim lepsze, chowa i zatyka gdzieś w kąty, a staje się jakąś malpą, czy pajacem, i to gorzkim pajacem, a w dodatku często nieszczerym. Więcej wmawiać w siebie marność życia, niż ją odczuwać — jakie to dziwne! Jedna rzecz mnie pociesza, że czemś naprawdę rzeczywistem w życiu jest tylko śmierć — chociaż z drugiej strony, to znów nie racya, żeby przedtem, nim ona przyjdzie, mówić na wino, że to ocet...

— Mój kochany, — odpowiedział Polaniecki — tyś się zawsze męczył tem ciąglem nawijaniem myśli na byle motek. Nie czyńże tego teraz.

— Masz słuszność. Ale nie mogę o tem nie myśleć, że pókim chodził i był jako tako zdrow, drwiłem z życia, a teraz — powiem ci pod sekretem — ja mam ochotę jeszcze żyć.

— I będziesz.

— Ej, daj spokój. Żona twoja mi to wmówiła — ale teraz znów nie wierzę. I ciężko mi. Zmarnowałem się. Ale słuchaj, dlaczego chciałem z tobą mówić. Nie wiem, czy czeka mnie jaki obrachunek, czy nie? Szczerze ci mówię: nie wiem! — a jednak mam jakiś dziwny nie-

pokój, jakbym się czegoś bał — i powiem ci czego: oto, że ja tam, dla swoich, nic nie zrobiłem, a mogłem! mogłem!... — Przed tą myślą strach mnie bierze — daję ci słowo! To jest niegodna rzecz! Nic nie zrobiłem: zjadłem darmo chleb, a teraz... śmierć. Jeśli są jakie baty i jeśli mnie czekają, to za to — i słuchaj Stachu — ciężko mi!...

Tu, jakkolwiek mówił zwykłym sobie, niedbałym tonem, twarz jego poczęła wyrażać istotny niepokój — usta pobladły mu nieco, a na czole osiadło kilka kropel potu.

— Dajże pokój! — rzekł Polaniecki. — Ot, co mu do głowy przychodzi! Szkodzisz sobie!

Lecz Bukacki mówił dalej:

— Słuchaj, czekaj! Ja mam dość znaczny majątek — niech choć on coś zrobi za mnie. Ja tobie zostawię część, ale ty resztą rozporządź na coś pożytecznego! Ty jesteś praktyczny i Bi-giel także. Namyślcie się, bo ja nie wiem, czy będę miał czas. Zrobisz to?

— I to, i co chcesz!

— Dziękuję ci. Jaki to dziwny tego rodzaju niepokój i tego rodzaju wyrzuty? A jednak nie mogę się pozbyć poczucia winy. Takie warunki, że nie godzi się! Trzeba zrobić coś uczciwego, chociaż przed śmiercią. To jednak nie żarty!... Śmierć. Żeby to było coś widnego, ale to takie

ciemne!... I trzeba rozpadać się, psuć i gnić *po ciemku*. Czy ty jesteś człowiek wierzący?

— Tak jest.

— A ja ani tak, ani nie. Bawilem się w nirwanę, tak jak w inne rzeczy. Wiesz, żeby nie poczuć tej winy, tobym był spokojniejszy. Nie miałem pojęcia, że to tak może dokuczać. Mam wrażenie, że jestem pszczolą, która ograbiła swój ul, i że to jest rzecz podła. Ale przynajmniej po mnie zostanie majątek. Co? prawda? Trochę straciłem, ale bardzo niewiele — i to na obrazy, które także zostaną — prawda? Ach, jakbym ja chciał teraz jeszcze żyć, choćby z rok, choćby tyle, by nie umrzeć tu...

Na chwilę zamyślił się i potem rzekł:

— Ja teraz rozumiem jedno: życie może być złe, bo je człowiek może sobie głupio urządzić — ale istnienie to dobra rzecz.

Polaniecki odszedł późną nocą. Przez tydzień następny zdrowie chorego wahało się. Lekarze nie umieli nic przewidzieć, sądzili jednak, że podróż w żadnym razie nie może spowodować niebezpieczeństwa. Świrski i Waskowski podjęli się odwiedzić chorego, który tęsknił coraz bardziej i codziennie prawie wspominał panią Emilię — Siostrę miłosierdzia. Ale w wigilię dnia, w którym mieli wyjechać, stracił nagle mowę. Polanieckiemu serce się krajało, gdy patrzył

na jego oczy, w których chwilami malował się straszny niepokój, a chwilami jakby jakaś wielka, niema prośba. Próbował pisać, ale nie mógł. Wieczorem przyszło porażenie mózgu — i umarł.

Pochowano go na Campo Santo tymczasowo. Polaniecki bowiem domyślał się, iż jego spojrzenia wyrażały prośbę o przewiezienie go do kraju, a Świrski potwierdził domysł.

Tak znikła ta bańka mydlana, czasem polyskująca barwami tęczy, ale czcza i nietrwala, jak prawdziwa bańka...

Polaniecki szczerze strapiony był jego śmiercią i następnie całemi godzinami rozmyślał o tem dziwacznem życiu. Myśłami temi nie dzielił się z Marynią, bo jakoś dotąd nie weszło mu w zwyczaj dzielić się z nią tem, co się w nim działo. Ostatecznie, jak to się często zdarza ludziom, którzy myślą o umarłych, wyprowadził z tych rozmyślań rozmaite wnioski na własną korzyść.

— Bukacki — mówił sobie — nigdy nie umiał przyjść do ładu z własnym rozumem; brakło mu zmysłu życiowego, nie umiał rozpoznawać się w tym lesie i szedł zawsze według chwilowej fantazyi. I gdyby mu było z tem dobrze, gdyby był z życia coś wycisnął — przyznałbym mu jeszcze rozum. Ale jemu było źle. Istotnie, głupią jest rzeczą wmawiać w siebie,

zanim śmierć przyjdzie, że wino jest octem. Jednak patrzę jaśniej na rzeczy, a oprócz tego, byłem z sobą daleko szczerzy. Bądź co bądź, ja prawie zupełnie jestem w porządku i z Bogiem i z życiem.

Było w tem nieco prawdy, ale były i złudzenia. Polaniecki nie był w porządku z własną żoną.

Sądził, że dając jej opiekę, chleb, dobre obchodzenie się i miażdżąc od czasu do czasu jej usta pocałunkami, spełnia wszelkie możliwe obowiązki, jakie względem niej zaciągnął. Tymczasem stosunki między nimi zaznaczały się coraz wyraźniej w ten sposób, że on tylko raczył kochać i raczył przyjmować miłość. W ciągu jego spostrzeżeń życiowych uderzało go niejednokrotnie dziwne zjawisko, że gdy na przykład człowiek, znany z uczciwości, spełnił jakiś szlachetny postępek, ludzie kiwali rękoma, jakby z pewną niedbałością, mówiąc: «Ach, ten pan X. To zupełnie naturalne!» Gdy jednak wypadkiem zdarzyło się uczynić coś uczciwego szui — ci sami ludzie mówili z wielkiem uznaniem: «A jednak w nim coś jest». Sto razy Polaniecki widział, że grosz, dany przez skąpca, więcej czyni wrażenia, niż dukat, dany przez człowieka hojnego. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że w stosunku do Maryni sam trzyma się ta-

kiej samej miary sądu i uznania. Oddawała mu całą swą istotę, całą duszę? — »Ach, Marynia! to naturalne!» I kiwał również ręką. Gdyby jej miłość nie była tak bezwzględna, gdyby przychodziła mu z większą trudnością, gdyby w przeświadczeniu, że jest skarbem, oddawała się jako skarb, gdyby w przeświadczeniu, że jest bóstwem, wymagała schylonej głowy i czci — Połaniecki byłby ją przyjmował ze schyloną głową i czcił. Takie jest ogólnie serce ludzkie, i tylko najbardziej wyborowe natury, utkane z promieni, umieją wznieść się nad ten poziom. Marynia oddawała Połanieckiemu swoją miłość jako jego prawo — więc i przyjmował ją jako swoje prawo. Jego miłość uważała za szczęście, więc też on dawał ją jako szczęście — sam zaś czuł się bożkiem w ołtarzu. Jeden jego promień padał na serce kobiecie i rozjaśniał je — resztę promieni bożek chował dla siebie. Biorąc wszystko — oddawał tylko część. W jego miłości nie było tej bojaźni, która wypływa ze czci — i nie było tego, co w każdej pieszczocie mówi kochanej kobiecie: «Do twoich stóp!»

Ale nie rozumieli jeszcze tego oboje.

„Tygodnik Ilustrowany“ daje rocznie przeszło 1200 ilustracyi, oraz bezpłatne reprodukcye kolorowe obrazów artystów naszych.

W „Tygodniku Ilustrowanym“ drukują się stale jednocześnie **dwa utwory** powieściowe i nowelistyczne **oryginalne** cenniejszych autorów polskich.

W dodatku powieściowym, dołączanym w arkuszach, daje Tygodnik utwory powieściowe głośniejszych pisarzy obcych.

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1900 bez żadnej dopłaty
dalszych

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 36-ciu 10-cio arkuszowych tomach (z wyjątkiem „Trylogii“) **wszystkie utwory autora „QUO VADIS“.**

Oprawa 12 tomów Dzieł Sienkiewicza wynosi rs. 2 (złr. 2.40); w tym stosunku na oprawę 6 tomów dołączać należy rs. 1 (złr. 1.20); na oprawę 3 tomów kop. 50 (ent. 60).

Pierwszych 12 tomów, zawierających:

Szkice węglem, Stary sługa, Hania, Janko muzykant, Listy z Ameryki, Z Puszczy Białowieskiej, Bez dogmatu, Jamioł, Organista z Ponikły, Listy z Rzymu, Wenecyi, Paryża, Komedia z pomyłek, Sachem,

mogą nabywać czytelnicy nasi za dopłatą rs. 5 (złr. 6.50), w oprawie rs. 7 (złr. 8.90) za 12 tomów. Przesyłka kop. 80.

Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową w Król. i Ces. kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12, zagranicą: rocznie rs. 13, półrocznie rs. 6 kop. 50, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

W Krakowie kwartalnie 3.30 złr., we Lwowie kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75. W Poznaniu rocznie Mk. 24, z przes. pocztową w Cesarstwie Niemieckiem Mk. 30.

Adres Administracyi „Tygodnika Ilustrowanego“:

Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
B I B L I O T E K A

78954 LP

Biblioteka WSP Kielce



0226136